Nr. 22 (1275). Warszawa, 10 Czerwca (28 Maja) 1905 r. **Rok XXV.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
w Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. **10**.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Szan. Abonentom naszym przypominamy termin odnowienia prenumeraty kwartalnej i półrocznej.

POLITYKA

Pogrom.

Dziewięć już raportów Togo złożył, a gazety w Tokio streściły lub w całości podały, o bitwie w zatoce Korejskiej. W każdem z nich przybywały do znanych już faktów nowe. Zanim się zjawi sprawozdanie całkowite, z sumy już wygłoszonych można odtworzyć ogólny obraz działań—a dokładny zupełnie obraz zniszczeń i strat, na długie wieki z nazwą wyspy Tsu (Tsu-szyma) nierozdzielnie złączonych. Drugi z tych obrazów nakazuje nazwać bitwę wypadkiem wielkim, największym w dziejach nowożytnych: takiej klęski nie poniósł Filip II, kiedy mu Anglicy rozbijali armadę, z taką klęską nie zdoła się zmierzyć ani Trafalgar, ani ta krwawa rozprawa antylska w której Rodney podczas wojen przedrewolucyjnych z Francyą rozbijał Grasse'a: pogrom bezprzykładny w historyi. Wątpliwość wzbudza samo wszczęcie bitwy, miejsce wpłynienia floty rosyjskiej do zatoki, działania i wypadki, które ją przyparły prawie odrazu do brzegów Niponu. Największe prawdopodobieństwo ma podanie, że viceadmirał rosyjski nie okraczał wyspy Tsu, że odrazu wpłynął w cieśninę południową, Krusensterna, że stało się to już między godz. 6-ą a 8-ą zrana d. 27 z. m., że bitwa rozpoczęła się odrazu, więc zrana, a nie po południu, jak doniesiono, że do wieczora d. 27 z. m. flota była już rozbita, że noc następną Japończycy poświęcili na niszczenie okrętów, a dzień na ściganie ich i znowu niszczenie, o ile się dobrowolnie nie poddawały.

Togo ma już dziś nazwę „wielkiego admirała"; nie odbierze mu jej potomność, dopóki życie Ludzkości dokonywać się jeszcze będzie w pojedynczych narodach, a nie w federacyi wyodrębniających się etnologicznie, ale zespalających humanitarnie, rojów ludzkich. Jego sztuką było osaczenie floty, owo przyparcie jej do lądu japońskiego i ściganie w kierunku coraz bardziej północnym i wschodnim; czynem floty japońskiej od najniższych szczebli do najwyższych była niestrudzona, ustawiczna praca w nocy z d. 27 na 28, która nietylko poniszczyła martwe okręty, ale niezdolnymi do dalszej walki uczyniła i żywe ich załogi. Gdyby tej nocy użyto na wypoczynek, dzień następny nie mógłby wprawdzie już podnieść floty rosyjskiej z rozbicia, ale mógłby zwiększyć dla niej widoki ocalenia się, dla japońskiej konieczność strat, a dla obu przedłużyć walkę na trzeci dzień. Japończycy wiedzieli za jaką sprawę walczą; telegraf bez drutu z okrętu admiralskiego „Mikasza" powiedział im odrazu: „Dziś rozegrają się losy naszej ojczyzny" — i rozegrały się. Japonia wyszła z walki jako potężne w dziejach świata mocarstwo, a zawdzięczyć to musi nietylko naczelnemu admirałowi swemu, który istotnie okazał się godnym swego stanowiska, nietylko jego podkomendnym, ale i tej małej istocie, tym licznym ruszającym się proszkom, które obejmujemy nazwą żołnierza, zbyt często, przy wadzie nabytej swego umysłu, lekceważąc zasługi w dole wobec mocniej uderzających imaginacyę zasług w górze, w sztabach i dowódcach.

Ogrom zniszczenia pokazuje wielkość wypadku bojowego, który raporty Toga umiejscawiają przy wyspie leżącej już na m. Japońskiem, niedaleko od brzegów, a noszącej nazwę Okino. Po dwu najpierwszych w czasie okrętach: „Borodino" (panc.) i „Adm. Nachimow" (krąż.) zatonęły następujące: pancerniki: adm. Rożestwienskiego „Kniaź Suworow", „Ces. Aleksander III", „Osłabja", „Sissoj Wielikij", „Nawaryno"; „Adm. Uszakow" krążowniki: „Dym. Donskoj", „Władimir Monomach", „Swetlana"; dwa okręty „specyalne", 3 kontr-torpedowce — razem 16 jednostek bojowych. Poddały się po boju w d. 28 z. m., zostające pod dowództwem kontradmirała Nebogatowa: pancerniki: admiralski „Ces. Mikołaj I", i „Orjeł"; krążowniki: „Adm. Apraksin" i „Adm. Sienjawin"; kontrtorpedowiec „Biedowyj". Ogół strat dwoma temi sposobami poniesionych przedstawia 9 pancerników, 6 krążowników, 2 okręty „specyalne" i 4 kontrtorpedowce: daje to w sumie ogólnej 21 jednostek bojowych o 160,000 ton. Przedarły się do Władywostoku: krąż. „Ałmaz", i torpedowce „Brawyj" i „Groznyj"; krążownik „Izumrud" nie dopłynął i w zatoce Włodzimierza natknąwszy się na skałę rozsadzonym został przez własnego kapitana. Schroniły się do dalekiej Manilli d. 3 czerwca trzy krążowniki pod adm. Enquistem „Oleg", „Aurora" i „Żemczug", z lekkiemi stratami ok. 150 ranionych i 50 zabitych. W Wusungu wreszcie i Szang-haju znalazło przytułek kilka jeszcze statków tak przed bitwą, jak i po niej. Wszystkie okręty w Szang-haju, Wusungu i Manilli mają być rozbrojone.

Adm. Rożestwienskij, gdy po nocnym ataku torpedowców japońskich „Suworow" tonąć zaczął, a może już i wcześniej, przesiadł się na kontrtorpedowiec „Brawyj",

z niego zaś na inny, „Biedowoj", i na nim na samem dnie, gdzie ranionemu było najspokojniej, dostał się do niewoli. Rany nie są niebezpieczne, a wzorowo-ludzka staranność Japończyków—którzy umieją niszczyć i zatapiać opancerzone olbrzymy, ale ludzi przecież nie zjadają—nie pozwala viceadmirałowi wątpić o wyzdrowieniu już nawet blizkiem. Kontr-admirał Nebogatow, według niektórych korespondentów, poddał się nie wskutek wyczerpania sił lub uszkodzenia okrętów, które, owszem, Japończycy wcielili już do swej floty, jako będące w stanie użyteczności, ale wskutek buntu załóg okrętowych, a może i swego własnego. Mikado pozwolił mu jechać do Rosyi, pozwolił mu ułożyć i wysłać raport o bitwie jako temu, na którego adm. Rożestwienskij zdał był dowództwo naczelne; z pierwszego pozwolenia kontr-admirał skorzystać niechciał, niechcąc zobowiązywać się do niewalczenia przeciw Japonii; drugie nie na wiele mu się pewno przyda, więcej myślał bowiem o sobie, niż patrzał w bitwę. Los admirała Falkersama (-samb) jest niepewnym. Był on już w podróży chorym, mógł umrzeć naturalną śmiercią, mógł zginąć od wybuchu, mógł wreszcie dostać się do którego z powyższych trzech schronisk. Najlepiej udało się czwartemu admirałowi, Enquistowi: w rozkosznej Manilli przebędzie czas aż do skończenia wojny. Rozkosz zamącić mu może tylko trzęsienie ziemi. Pogrom w całości swojej daje widok ponury, a jakże nauczający! Czy tylko Rosya, czy Naród Rosyjski z tej nauki skorzysta?

Trochę nieprawdy a dużo szczerości

Do za ziemią, między nią a słońcem, zawieszony jest w powietrzu fotel, na którym siedzi rozparty Lucyfer i śmieje się do łez z widoku zajadłych walk ludzkich. Jest to jego teatr fars.

Jakżebym pragnął bodaj przez chwilę usiąść w tym fotelu i popatrzeć na starcia naszych stronnictw! Musi to być obraz bardzo śmieszny!

Czuję to, bo i ja byłem kiedyś.... kogutem, to znaczy demokratą narodowym. Wskakiwałem na różne płoty, piałem przeciągle kukurykuuu!, co miało zapowiadać pogodę lub deszcz, rozgrzebywałem domowe śmietniki, zwoływałem kury do znalezionego ziarnka, rzucałem się zawzięcie z pazurami na wszystkich współzawodników. Widocznie robiłem to nieźle, bo raz (a było to przed dwoma laty) urządzono mi we Lwowie maleńką owacyjkę, mniej więcej taką, jaka spotyka pięcioletnią koniczynę i pożegnano mnie zapewnieniem, że gdyby tylko był w pogotowiu odpowiedni stempel, nagrodzonoby moje zasługi pamiątkowym medalikiem. Od tego czasu upłynęło nietylko wiele wody w rzekach, ale wiele błota w pismach narodowo-demokratycznych, w których umieszczano kolejno wszystkich, nienależących do tej czcigodnej drużyny. Te systematyczne „moorbady", będące głównie zajęciem jej publicystyki a zaprawiane zbyt szczodrze kłamstwem i potwarzą, odsunęły mnie od niej daleko. Opowiadano mi potem, że jak spadkobiercy Jana Maryi Fariny mają zamknięty w puszce przepis prawdziwej wody kolońskiej, tak samo narodowa demokracya ma ukryty przed naśladowcami program prawdziwej polityki polskiej. Dziwną mi tu była tajemnica, ale pomyślałem sobie: dlaczego w polityce nie ma być także Jana Maryi Faryny? Nareszcie przed paru tygodniami *Ruś* ogłosiła ów program. Przeczytawszy go, parsknęliśmy śmiechem: ależ to chyba „dokładna zapiska", przedstawiona „gdzie należy" z prośbą o usunięcie rozmaitych „ograniczeń". Wytłumaczono mi, że to tylko „szkic tymczasowy", że wkrótce pojawi się całkowity „program partyi". Gdy tak czekamy, zjawia się w *Gazecie Polskiej* artykuł p. St. Libickiego, występującego już wyraźnie jako rzecznik i mściciel honoru demokracyi narodowej i obwieszczającego nam niespodziankę, mianowicie, że stronnictwo to nigdy nie miało puszki, nie chowało w niej sekretnego a jedynie prawdziwego przepisu na zbawienie narodu, gdyż on był oddawna znany. Był, jest—a niema go. „A ja go szukam, szukam naokół, ale go znaleźć nie mogę". Śpiewano już tak nieraz, a zawsze z tym samym skutkiem: program jest, ale go niema. Zupełnie jak Kuba Rozpruwacz, który swą obecność zdradza rękoczynami jednego typu, ale nigdy uchwycić się nie daje. Nie ścigajmy go daremnie i pomówmy z p. St. Libickim nie o znikomej i rozwiewnej marze, którą on miłuje, ale o rzeczywistej postaci, której on nienawidzi.

Przedewszystkiem, ażeby zastrzedz swoją bezstronność, uprzedzam, że o ile narodowa demokracya — jak ktoś dowcipnie powiedział—przypomina istotnie cyrkowego Augusta, który wszystkim cudzym robotom przeszkadza i wszystkie pomyślnie dokonane za swoje uznaje, o tyle postępowa demokracya ma dla mnie wskazówkę swego kompasu przesuniętą niedość na lewo. Najzupełniej rozumiem, że p. Libicki, który prosi o głos do repliki już wtedy, kiedy mówca zaledwie rzekł: „panowie!" nie mógł wytrzymać i odpowiedział Sieroszewskiemu na jego list otwarty do Karejewa w *Prawie*, dotyczący stosunku i znaczenia dwu demokracyj. Ale nie rozumiem, dla czego p. L. zwykle w swych polemikach rzetelny, broniąc siły i godności stronnictwa, używa tej broni, przez którą ono najbardziej się zohydziło i zdyskredytowało? Wykręt jest tylko przezroczystem szkłem, z pod którego zawsze przegląda nakryta prawda. Po co to więc gadać takie bajdy, że „p. Sieroszewski do ostatnich prawie miesięcy nie brał żadnego udziału w życiu politycznem naszego kraju", że kilkanaście lat „spędził w ziemi Jakutów", a „powróciwszy niedawno *raptem* poczuł niezwykły pociąg do polityki jako zupełny nowicyusz?" Po co to bajać, kiedy Sieroszewski, o czem p. L. doskonale wie, „spędził kilkanaście lat w ziemi Jakutów" właśnie skutkiem zajmowania się polityką, że powrócił do kraju przed 6 laty, że ciągle przyjmował w jego życiu bardzo gorący udział, a zaczął swój nowicyat wtedy, kiedy upominający go arcykapłan nie znał jeszcze ministrantury politycznej?

Nie wiem, ile lat pobytu w kraju i praktyki wymaga p. L. dla przyznania komuś prawa sądzenia spraw polityczno-społecznych; pamiętając, że on sam często zdobywał to prawo w ciągu jednej doby i że rozwiązywał *raptem* najtrudniejsze zagadnienia w skali przewyższającej rozmiar wiedzy Leibnitza, nie przypuszczałem, żeby nie był zadowolony z legitymacyi Sieroszewskiego. Nie wiem również, czy na rachunek taktyki partyjnej, czy też erudycyi osobistej szan. autora mam zapisać twierdzenie, że program demokracyi postępowej „oparty jest na szlacheckiej konstytucyi z 1815 roku". Doprawdy, jeśli to nie figlik w stylu narodowo-demokratycznym, to można wątpić czy p. L. słyszał cokolwiek o konstytucyi z 1815 roku.

Za wszystkie jednakże świadome i bezwiedne bajki wynagrodził on nas jasnem i szczerem wyznaniem, które — jak mniemam—stanowić będzie pyszną grzechotkę agitacyjną dla postępowych demokratów. Oświadcza on już bez ogródek, że narodowa demokracya nie zgadza się na powszechne, równe, tajne, bezpośrednie głosowanie. Bo „dla niej nie może być zagadką, co by się stało, gdyby przyszłość urządzeń autonomicznych oddać w ręce tak długo utrzymywanych w zupełnej ciemności i nieuświadomionych mas ludowych". Naturalnie, co by się wówczas stało, wiemy: zapanowałaby istotna demokracya narodowa, na co demokraci narodowi w żaden sposób zgodzić się nie mogą.

Ot i wylazło szydło z worka. Za wcześnie dla partyi, która obejmuje „szersze warstwy społeczne" i ma zamiar „rosnąć". Nie omylę się chyba w proroctwie, wróżąc, że maluczko, a nadejdzie ten czas, kiedy narodowi demokraci zaczną przeżywać najboleśniejsze, według Dantego, chwile rozpamiętywania radosnych wspomnień w boleści i kiedy złorzeczyć będą potrzebie ukazania się w świetle i mówienia wyraźnie.

Go—on.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Najbardziej polityczną, choć najmniej jeszcze hałasu w dziennikach robiącą, jest sprawa pokoju, dla rozsądku tak prosta, tak konieczna, tak łatwa, że dziwnem mogłoby być tylko rozwiązanie jej ujemne—dalsza walka nietylko z Japończykami, ale z rozsądkiem, z naturą, z naturalnym rzeczy porządkiem. Dzienniki francuskie odrazu po klęsce zbiegły się w życzeniu serdecznem dla Rosyi, aby zawarła pokój. Dziennikarstwo świata całego uważa pokój za logiczne następstwo klęski pod Tsu-szymą; politycy praktyczni i teoretyczni innego nie widzą wyjścia z gradu klęsk, prócz jedynego, które dokonywać się zwykło pod symbolicznemi godłami Minerwy; sami publicyści rosyjscy, z wyjątkiem pp. Gringmutha i Komarowa, zastanawiają się już tylko nad warunkami działania, nad nieuniknionemi ustępstwami, i conajwyżej jeszcze sprawę pokoju zwołać się mającemu ciału przedstawicielskiemu do rozstrzygnienia zostawiają. Pomimo to cel tak upragniony wydaje się jeszcze dalekim. Jest już wprawdzie pewien ruch pośredniczący po wyłączeniu przez Japonię Francyi, jako zbyt jaskrawo życzliwej, zamknięty w obrębie Stanów Zjednoczonych, cesarstwa Niemieckiego i Anglii, ale brak mu oznak wyraźniejszych, wróżących skuteczność; w każdym razie depesza z Waszyngtonu o rokowaniach, do których wpływali posłowie obu stron, przedstawiciel rządu związkowego, oraz poseł niemiecki—zasługuje na uwagę.

Zaręczyli byli wprawdzie socyaliści francuscy, że się na króla hiszpańskiego w Paryżu nie targną — żadnem zbiegowiskiem, ani demonstracyą — ale zaręczenia żadnego nie dali anarchiści miejscowi, a zwłaszcza hiszpańscy, i oni też zakłócili Alfonsowi XIII odwiedziny w stolicy wielkiego narodu. Już przy samym wjeździe d. 30 maja jakiś Guarnery wskoczył na stopnie powozu z ukrytym puginałem; w nocy z d. 31 t. m. na 1 czerwca, gdy p. Loubet z gościem swym wracał z opery, padła już w orszak bomba. Obu jadącym w powozie nie stała się najmniejsza nawet krzywda; pokaleczeni są tylko figuranci z orszaku. I znowu nazajutrz miało być pod powozem jakieś wstrząśnienie, w powietrzu jakiś huk. Podejrzanych schwytano dużo, zamknięto do więzienia znanych policyi paryskiej anarchistów międzynarodowych, ale sprawcy rzeczywistego nie wykryto. Ma nim być niejaki Farrar z Barcelony. Ostatecznie król w dobrem zdrowiu wyjechał do Anglii d. 4 b. m. Pogłoski o małżeń-

stwie w rodzinie angielskiej nie ustają, choć list królewski z przeszłego miesiąca do arcybiskupa Barcelony, sławiący nietolerancyę dla anglikanizmu, nie wspiera wiary w taką kolligacyę. Owocem podróży do Francyi jest zgodne postępowanie w Marokku—jako obietnica.

O politykę marokańską rozbija się już teraz ostatecznie p. Delcassé. Podobno idzie na ofiarę konferencyom europejskim, pada więc jak rycerz broniący honoru Francyi p-ko p. Rouvierowi conajmniej, jeśli nie p-ko Francyi samej. Jest to prawdopodobnie legenda reporterów. Przyczynę daleko prostszą daje niepowodzenie p. Rene-Taillandiera w Fezie, dokąd przybył już dyplomata angielski, mający poprzeć Francyę. P. Delcasse więcej obiecywał, niż dał, a wtrącać się w „swoje" sprawy innym nie pozwalał. Dla Francyi dobrze, że się tej miernoty z siebie już samej nadętej, nadymanej jeszcze przez dziennikarzy, pozbędzie. Rouvier tymczasem prowadzi od d. 6 b. m. sprawy zagraniczne.

Cesarz Wilhelm ożenił syna w d. 6 b. m. z księżniczką meklemburską Cecylią; nie mógł przytem nie olśnić świata tytułem książęcym Bülowa, tego Bülowa, który sam dziwił się swej olśniewającej godności. Niesłychane wyróżnianie ks. Arysugawy np. obdarzenie go orłem Czarnym, kryje w sobie zamysły na przyszłość.

Zgromadzenie narodowe Krety w końcu miesiąca uległo mocarstwom.

W Norwegii żądanie konsulatów król Oskar II odrzucił, nie przyjął też i dymisyi ministrów. D. 27 z. m. storthing wysłuchał sprawozdania, zamianował umyślny komitet do dalszych kroków i stanął na samej krawędzi unii, aby ją zerwać. W Sztokholmie myślą o unii jedynie tylko osobistej, ale z pierwszeństwem dla Szwecyi. W Chrystyanii, gdzie społeczeństwo demokratyczne, jak i w całym kraju, rozlega się hasło rzeczypospolitej.

ŻYCIE SPOŁECZNE

LISTY GALICYJSKIE.

Zjazd abstynentów polskich.—Prawo propinacyi.—Nowy projekt zastosowania prawa propinacyi. — Wynik wyborów do rady miejskiej Krakowa.

3 i 4-go czerwca odbył się w Krakowie pierwszy zjazd abstynentów polskich, zainicyowany przez towarzystwo „Eleuterya", zdobywające sobie w ostatnich czasach sporo zwolenników wśród inteligencyi i młodzieży. Zjazd jest obesłany stosunkowo dość licznie. Uczestnicy przybyli z całej niemal Galicyi i ze Śląska.. Wygłoszono cały szereg odczytów, dotyczących abstynencyi wogóle, a zwłaszcza u nas, zadań walki z alkoholizmem i t. d. Należy z uznaniem podnieść, że tak prelegenci jak i członkowie zjazdu, zabierający głos w dyskusyi, zajmowali szersze stanowisko społeczne. Praca na polu walki z alkoholizmem w Galicyi znajduje się dopiero w zalążku. Założona przed trzema laty „Trzeźwość" zaledwie wegetuje, a praca „Eleuteryi" napotyka energiczne przeciwdziałanie ze strony księży, wietrzących w tem towarzystwie wpływy masońskie, co otwarcie przyznał jeden z uczestników zjazdu—ks. Wesoliński. Być może, że obecny zjazd popchnie sprawę walki z alkoholizmem na szersze tory. A praca w tym kierunku jest konieczna. Jakkolwiek bowiem przeciętne, roczne spożycie wódki w Galicyi wynosi tylko 4,17 litrów, gdy w Austryi Dolnej 4.35, na Morawach 7.4, a na Śląsku 9.43 litry, to jednak mało który kraj w państwie austryackiem posiada tylu pijaków, co Galicya. Kiedy gdzieindziej przeważa typ umiarkowanych konsumentów, to w Galicyi mamy zdecydowanych pijaków obok zdecydowanych abstynentów. Charakterystyczne, że ustawę przeciwko pijaństwu wydano w r. 1877 jedynie dla Galicyi i Bukowiny. Statystyka kar za przekroczenia tej ustawy świadczy coprawda o zmniejszeniu się pijaństwa, ale w każdym razie jeśli zamiast dawnych 25,000 wypadków rocznie obecnie jest ich 17,000, to i to jeszcze jest dowodem dość opłakanego stanu naszego kraju pod tym względem.

Ze sprawą pijaństwa jak najściślej jest połączona sprawa propinacyi, stanowiącej jeszcze jeden dziwoląg galicyjski, nieznany krajom zachodnim.

Prawo propinacyi jest jednym z tych zabytków feodalizmu, który dochował się tylko w Galicyi i na Bukowinie. Inne kraje, wchodzące w skład państwa austryackiego, nie znają tego prawa, a i w Galicyi skazane ono jest „całkowicie i nazawsze" (jak mówi uchwała sejmowa) na zagładę. Pomimo to prawo propinacyi, w zasadzie zniesione w r. 1889-ym, objawia tak wielką chęć do życia, że — kto wie—czy zwolennikom zachowywania szczątków ustroju feodalnego, nie uda się przedłużyć agonii tego prawa. Agonia ta trwa już od lat trzydziestu, od roku 1875-go, kiedy monopol wyrobu trunków, tworzący część integralną prawa propinacyi, został zmieniony przez pierwszą ustawę wykupienia propinacyi. Uchwała sejmowa z r. 1889-go orzeka, że po upływie roku 1910-go prawo wyszynku i sprzedaży napojów propinacyjnych ustaje całkowicie i nazawsze. Konanie prawa propinacyjnego przeciągnięto do r. 1911, gdyż w tym czasie mogły być dostarczone środki na wykup propinacyj przez kraj.

Uprawniona do propinacyi szlachta otrzymała w r. 1889-ym indemnizacyę w wysokości 134 milionów koron. Co do miast upoważnionych do propinacyi, to otrzymały one odszkodowanie w tej formie, że pozostawiono im nietknięte wykonywanie prawa propinacyi we własnym zarządzie, na własny dochód i na dalszych lat 21. Nadto jako uzupełnienie tej indemnizacyi miastom przypadną w udziale specyalne fundusze, pozostałe na ten cel przed rokiem 1889-m a uzupełniane częścią jednomilionowego, rocznego przyczynku do kosztów wykupna ze skarbu państwa. Krzywda się więc nikomu nie stała. Niedość tego. Znaczna część zindemnizowanych w r. 1889 właścicieli ziemskich odszkodawała się sama jeszcze raz, a to w ten sposób, że wzięła propinacye w dzierżawę na dalszych 21 lat.

Od roku 1889-go prawo propinacyi jest wykonywane już nie przez właścicieli prywatnych, lecz przez dyrekcyę funduszu propinacyjnego, która wydzierżawia propinacyę okręgom lub gminom w drodze licytacyi. Gospodarka tej dyrekcyi wyśrubowała niezwykłe czynsze dzierżawne i stała się prawdziwą plagą w życiu kraju.

Ponieważ prawo propinacyi wydzierżawia się obecnie drogą przetargu z tendencyą wyciągania maksymalnych czynszów dzierżawnych, przeto musiały urosnąć ciężary, spadające przedewszystkiem na konsumenta. Dzierżawcy propinacyi, chcąc wyjść na swojem, podnoszą czynsz dzierżawczy poddzierżawców-szynkarzy w olbrzymiej większości wypadków. Szynkarze zaś odbijają to na spożywcach w sposób różnorodny. Przedewszystkiem muszą pednieść ceny trunków, a następnie obniżać ich jakość. A ponieważ i tego często nie wystarcza na pokrycie czynszu, więc szynkarze uciekają się do najrozmaitszych operacyi lichwiarskich, których terenem staje się karczma. Oprócz czynszu, wypłacanego dzierżawcom i poddzierżawcom gotówką, szynkarze oddają im jeszcze coś innego. Mianowicie stają się oni zupełnie zależnymi od dzierżawców i poddzierżawców finasowo i—co za tem idzie—politycznie. Szynkarz jest urzędowym agitatorem wyborczym tego, od kogo zależy pozbawienie go szynku. Musi mu służyć za narzędzie polityczne i oddawać najnikczemniejsze nieraz usługi.

Konsument opłaca się propinacyi nietylko gotówką za zbyt drogie trunki, nietylko produktami swego gospodarstwa za lichwiarski kredyt, nietylko zależnością polityczną od kliki szynkarsko-propinacyjnej, ale i zdrowiem. Pochodzi to stąd, że system dzierżawny, de facto utrzymuje w mocy dawny, zniesiony na papierze w r. 1875 monopol wyrobu trunków. Olbrzymia większość szynkarzy bowiem nie posiada wolności brania trunków tam, gdzie się jej to podoba. Musi ona brać trunki od dzierżawców i poddzierżawców—takie, jakich ci dostarczają i po takiej cenie, jaką im się podobało wyznaczyć. Dzierżawca większego okręgu bardzo często sam jest właścicielem browaru. Zniewala więc szynkarzy do sprzedawania tylko tego piwa, które sam produkuje, chociażby było najgorsze. Oprócz tego dzierżawcy lepiej opłaca się kupować, dla odprzedania ze znacznym zyskiem szynkarzom, wódkę surową wprost z gorzelni i w sposób prymitywny, zdrowiu szkodliwy, bardzo małym kosztem przerabiać, słodzić i przyprawiać, aniżeli płacić racyonalnie urządzonym rafineryom spirytusu i fabrykom wódek. Konsument tedy otrzymuje wódkę nieoczyszczoną, obfitującą w fuzel z domieszką szkodliwych dla zdrowia esencyj, oraz piwo, wyprodukowane z najgorszego słodu, w zakładach urągających elementarnym wymaganiom porządku, czystości i techniki produkcyjnej.

Ciekawe, że ci przemysłowcy, którzy sprzedają wódki fabrycznie słodzone, a więc mniej od propinacyjnych szkodliwe, ulegają ustawicznym szykanom i prześladowaniom. Gnębi się ich stale rewizyami, analizami i konfiskatami trunków, chcąc przyłapać na sprzedawaniu wyrobów propinacyjnych. Propinator i jego pachołkowie, dokonywający tych rewizyj otrzymują ze starostwa asystencyę żandarmeryi, co jest krzyczącem bezprawiem. Ale bezprawie to, pomimo niejednokrotnych zakazów ze strony namiestnictwa, stale się ponawia. I nic w tem dziwnego, gdyż tu „ręka rękę myje". Propinator jest pomocny władzy administracyjnej przy wyborach wszelkiego rodzaju, więc władza administracyjna przez wdzięczność pilnuje interesów propinatora. Zresztą nie czyni tego najczęściej przez samą wdzięczność, albowiem otrzymuje wynagrodzenie w gotówce lub w naturze.

Do jakich nadużyć posuwają się propinatorzy galicyjscy, pokazuje chociażdy najświeższy fakt z tej dziedziny.

Jedna z firm krakowskich przesłała do Tarnowa — pod adresem ekspedytora Dintenfasa ośm skrzynek piwa pilzeńskiego, przeznaczonego dla osób prywatnych. Ekspedytor, otrzymawszy tę przesyłkę z poleceniem natychmiastowego doręczenia jej odbiorcom, udał się do propinacyi celem opłacenia należności propinacyjnej. Zarządca propinacyi, dzierżawionej przez księcia Sanguszkę, Osterweil, nie pozwolił na wprowadzenie przesyłki do miasta. Zakaz ten, najzupełniej bezprawny, został przyjęty do wiadomości przez Dintenfasa, który spokojnie poszedł do domu, ażeby poczynić dalsze kroki w tej sprawie. Tymczasem Osterweil posłał pachołka do Dintenfasa z oświadczeniem gotowości pozwolenia na wprowadzenie piwa do miasta. Dintenfas zapłacił żądaną od tego piwa opłatę w kwocie około 10 koron, odebrał przesyłkę z kolei i odwiózł ją do miasta. Tymczasem pokazało się, że owo pozwolenie było chy-

trym podstępem ze strony propinacyi. Od samego bowiem rana na drodze, prowadzącej z kolei do miasta zaczaiło się 3 parobków w towarzystwie dwóch policyantów, którzy urządzili istną obławę. Krok w krok za wozem Dintenfasa z piwem jechał wózek z tymi ludźmi i gdy służba ekspedytora odstawiła pierwszą skrzynkę do pierwszego odbiorcy, pachołkowie propinacyjni tę część przesyłki skonfiskowali. To samo powtórzyło się z paru następnymi częściami przesyłki. Kiedy służba ekspedytora celem uniknięcia wstydu i pośmiewiska kilkuset ludzi, towarzyszących tej obławie, a mających wobec takiego faktu zupełnie uzasadnione prawo przypuszczać, że Dintenfas chciał przemycić piwo bez opłaty, zajechała na podwórze swego magazynu, pachołcy propinacyjni i tu przybyli. Pomimo że Dintenfas okazał im dowody uiszczenia opłaty wymaganej, pomimo że chciał złożyć kaucyę, przewyższającą wartość piwa, pachołkowie zabrali wszystkie skrzynki i odwieźli je do propinacyi. I wszystko odbywało się w biały dzień, w jednem z większych miast galicyjskich. Cóż dopiero dzieje się po małych miasteczkach, gdzie propinacya jest zupełnym panem—łatwo sobie wyobrazić.

Zwłaszcza ciężką jest walka sklepików kółek rolniczych z propinacyą i zależnym od niej, a więc i bronionym przez nią szynkarzem. Szynkarz propinacyjny bowiem jest nietylko monopolistą pod względem sprzedaży trunków, ale dzierży w swem ręku i monopol wszelkich interesów kredytowych z ludnością wiejską i małomiejską i—po części—monopol drobnego handlu.

Tego wszystkiego, cośmy dotychczas słyszeli, wystarczy najzupełniej, aby uznać, że prawo propinacyjne, nawet w tej „złagodzonej“ formie, w jakiej istnieje obecnie w Galicyi, jest pod każdym względem szkodliwe dla społeczeństwa, i że ogół z niecierpliwością powinien oczekiwać roku 1910, kiedy ten zabytek czasów pańszczyźnianych zniknie ostatecznie. A jednak są żywioły, które chciałyby go utrzymać. Do Wiednia wysłany został ze sfer panujących w Galicyi projekt, mający na celu przedłużenie obecnego systemu propinacyjnego z nieznacznemi zmianami, a w prasie konserwatywnej coraz częściej dają się słyszeć głosy w obronie propinacyi. Obszarnicy galicyjscy chcą przemycić dotychczasową propinacyę ze wszystkiemi jej szkodliwemi stronami pod nazwą „wyłącznego krajowego prawa wyszynku“. Zmiana ma polegać jedynie na tem, że się będzie wydzierżawiało już nie propinacyę, lecz licencye, które nie mogą obejmować więcej nad jedną gminę. Wyjątkowo tylko mogą, w miarę zachodzących trudności, rozszerzać się i na większe terytorya. Ten wyjątek jest furtką, pozostawioną dla wślizgiwania się pachciarzy generalnych, którzy obecnie są właśnie największą plagą ludności.

Szlachta, występująca obecnie z projektami ratowania propinacyi, ubolewa nad możliwem osłabieniem materyalnem obywateli ziemskich w razie jej zniesienia. Jest ona bowiem bardzo poważnym dochodem ubocznym, a często ratunkiem wobec nieszczególnej rentowości gospodarstwa wiejskiego. Panowie ci ośmielają się szafować takimi argumentami, pomimo że otrzymali już w r. 1889-ym 134.000.000 koron, jako odszkodowanie, pomimo że pobrali lichwiarskie odszkodowanie, dzierżawiąc propinacye przez dalszych 21 lat. Rzadko plantatorskie apetyty obszarników występowały z większą bezczelnością. Wszak i zniesienie pańszczyzny „osłabiło materyalnie“ założycieli wielkich posiadłości ziemskich—dlaczegóż więc nie domagają się otwarcie przywrócenia pańszczyzny? Ażeby pozyskać sojuszników wśród przemysłowców, wysuwają oni jeszcze argument, że zniesienie propinacyi umożliwi zalew kraju przez wyroby browarów i rafineryi po za galicyjskich, co już jest wierutnem kłamstwem. Albowiem jeśli co szkodzi krajowej produkcyi fabrycznej w tej dziedzinie, to właśnie propinacya, a co do galicyjskiego przemysłu spirytusowego i browarnego, to jest to bodaj jedyna gałąź wytwórczości krajowej, nieobawiająca się obcej konkurencyi.

Należy się spodziewać, że usiłowania obszarników, skierowane ku utrwaleniu resztek średniowieczczyzny kosztem interesów ogółu, spełzną na niczem, gdyż zakusy te spotkają się z energicznem odparciem ze strony wszystkich czynników postępowych, a i w radzie państwa widoki ich są bardzo słabe.

Wybory gminne w Krakowie skończyły się porażką konserwatystów w obu kuryach, gdzie (pomimo cenzury i odsunięcia od prawa wyborczego ludności robotniczej) rzeczywiście wybierano a nie mianowano. Mianowicie w kuryi drobnego handlu zwyciężyli kandydaci stronnictwa niezawisłych żydów — grupy najskrajniejszej opozycyi mieszczańskiej. Z wyborów w kole inteligencyi wyszedł cały zastęp kandydatów demokratycznych, między innymi redaktor „Nowej Reformy“ p. M. Konopiński. Lista antysemicka z p. Beaupré—redaktorem „Głosu Narodu“ otrzymała śmiesznie małą liczbę głosów. Pomimo oszustw wyborczych, jakich dopuszczali się konserwatyści, większość ich kandydatów przepadła. Nie powróci do rady miejskiej ani prof. N. Cybulski—exdemokrata, nie wejdzie do niej i A. Sokołowski — również exdemokrata. Natomiast kandydat partyi robotniczej—dr. Zygmunt Marek, jakkolwiek również niewybrany, ma jednak widoki wejścia do rady miejskiej w bliskiej przyszłości, gdyż zajmuje drugie miejsce pomiędzy tymi, którzy zostaną radcami w razie ustąpienia lub śmierci dwóch radców z tegoż koła. Niemałą sensacyę wywołało wybranie z koła inteligencyi Stanisława Wyspiańskiego, postawionego przez komitety demokratyczny i robotniczy. Autor „Wesela“ otrzymał olbrzymią liczbę głosów.

Daleki.

Listy z Niemiec.

W ubiegłych dniach odbył się piąty kongres centralnych niemieckich związków zawodowych. Kierownicy ich mogą być dumni, obejmując rzutem oka rozwój liczebny ostatnich lat kilku. W r. 1894 centralne związki zawodowe w Niemczech liczyły 246,494, w r. 1904 (przeciętnie) 1,052,108 członków, a w ostatnim kwartale roku 1,116,723. Niektóre doszły do olbrzymich już rozmiarów: związek metalowców 205,507 członków, górników 140,000, murarzy 130,129, robotników, pracujących w drzewie 105,386 i t. d. Oprócz centralnych związków zawodowych istnieją w Niemczech związki innego kierunku, a więc po za „lokalnymi“ z cechą polityczno-demokratyczną (20,686 członków) hirszdunkerowskie-liberalne (111,889), chrześciańskie (107,556), chrześciańsko-niezależne (99,928), różne inne (74,458). O ile wszystkie te stowarzyszenia można uznać za rzeczywiste związki robotnicze, otrzymujemy cyfrę 1,466,625 zorganizowanych zawodowo robotników w Niemczech. Dochody centralnych związków wynosiły w roku 1894 +: 2,685,564 m.—w r. 1904: 20,190,630 marek. Nie ulega wątpliwości, że związki zdobyły nader silne stanowisko i wywierają znaczny wpływ na całą ludność robotniczą w Niemczech. Angielskie związki zawodowe mają więcej członków, ale trzeba uwzględnić, że w Anglii niema państwowych ubezpieczeń robotniczych i że ubezpieczeniowe instytucye związków przyciągają sporo członków do organizacyi. W dawniejszych latach, gdy niemieckie związki zawodowe były jeszcze słabe, a robotnicza partya polityczna stosunkowo już bardzo rozwinięta, w szeregach demokracyi niemieckiej uważano związki zawodowe za szkołę rekrutów dla ruchu politycznego. Dzisiaj nikt tak nie mówi. Związki usamodzielniły się zupełnie. Pozostała jednak moralna wspólność z ruchem politycznym. Związkowcy wiedzą, że akcya polityczna i parlamentarna jest konieczną dla przeprowadzenia dążeń robotniczych, wiedzą, że odebranie podstawowych praw politycznych uniemożliwiłoby nawet akcyę związkową, jak to było w latach 1878 i na początku lat osiemdziesiątych, gdy Bismarck przeprowadził znane prawa wyjątkowe. Po za tem znaczna część kierowników związkowych zajmuje poważne stanowisko w ruchu politycznym, najwybitniejsi związkowcy są również członkami lewicy parlamentarnej. Pomimo to w ostatnich latach rozwijały się w związkach niemieckich tendencye, niezawsze zgodne z ideałami pokrewnego ruchu politycznego.

Związki wzrastały liczebnie, utworzono olbrzymie kasy—nietylko strajkowe—ale i w celach wypłacania wsparć w czasie bezrobocia, podróży, wrazie śmierci i t. d. Interes związków wymagał stałości pracy kierowniczej. Utworzono w każdym związku cały sztab urzędników, zajętych wyłącznie dla danego związku. Z natury rzeczy powstała biurokracya związkowa. Troska o nagromadzone pieniądze robotnicze, poczucie odpowiedzialności, obawa, że zmudna, długoletnia, cicha praca organizacyjna może być zniszczona przez jeden nierozważny krok—to wszystko stworzyło w szeregach urzędników związkowych pewną taktykę, w której obawa przed zbyt śmiałemi wystąpieniami widocznie górowała. Był to swego rodzaju „rewizyonizm”, niszczący idealizm robotniczy stokroć więcej, niż wszelkie rozprawy naukowe Bernsteina i jego przyjaciół politycznych.

Prądy te uwydatniły się nadzwyczaj silnie na kongresie związkowym, w tych dniach odbytym. Olbrzymią większością przyjęto rezolucyę przeciwko propagandzie na korzyść strajku generalnego. O najważniejszym punkcie obrad, dotyczącym corocznego święta robotniczego w Niemczech, uchwał żadnych nie powzięto. Referent, poseł Schmidt, przedstawił rezolucyę w której wyraża, że święta nie należy obchodzić przez bezrobocie, a w innej formie, że jednak związki zawodowe nie zmienią dotychczasowej formy, dopóki istnieją co do bezrobocia odpowiednie uchwały kongresów międzynarodowych. Referent powoływał się na fakt, że w Niemczech święcenie przez bezrobocie nie jest rozpowszechnione, że jednolitość święta będzie większa, jeżeli się da wszystkim robotnikom sposobność brać w niem udział, że nie trzeba narażać związków na olbrzymie koszta, wynikające z wydalania bezrobociarzy. Dyskusya była namiętna. Ostatecznie wszystkie rezolucye cofnięto i uchwalono porozumienie w danej kwestyi z partyą polityczną.

Po za tem prace praktyczne kongresu były bardzo owocne — chodziło szczególnej o uregulowanie wzajemnych wsparć podczas większych strajków. Generalna Komisya związków ma być centralnym punktem zbierania i wydawania pieniędzy. W zasadzie oświadczono, że każda organizacya ma się przez podwyższenie składek starać o to, aby mogła przeprowadzić swe strajki z własnych funduszów, nie żądając ogólnej pomocy. W nadzwyczajnych wypadkach ma nastąpić interwencya komisyi generalnej.

J. H.

Rozruchy w Łodzi.

Bezrobocie w Łodzi nie przerywa się, chwilami przybiera olbrzymie rozmiary. Zastrajkowali rzeźnicy, skutkiem czego przez jakiś czas nie było zupełnie mięsa w mieście. Wiele fabryk zawiesiło roboty; robotnicy zajęli zakłady nie dopuszczając do nich dyrektorów, urzędników, ani majstrów. W fabryce Heinzla, robotnicy, w liczbie tysiąc kilkuset, 2 dni i 1 noc nie opuszczali zakładu. Jedzenie podawano im na sznurach! Gdy na fabryce przylepiono ogłoszenie że jest zamknięta, a wszyscy pracujący są uwolnieni, robotnicy ogłoszenie zdarli, żądając otwarcia fabryki. Zarząd nie uczynił temu zadość. Tłum zachowywał się spokojnie.

Robotnicy Schajblera przesiedzieli w fabryce 3 dni i 3 noce, majstrów i dyrektora wyrzucili za bramę. I ta fabryka została przez właścicieli zamknięta. Gdy robotnicy oświadczyli, że powrócą do pracy na dawnych warunkach zażądano od nich, ażeby przeprosili majstrów i dyrektora (Kozłowskiego) — robotnicy odmówili; strajk więc trwa dalej.

W fabryce braci Hoffrichter robotnicy w liczbie 300 zastrajkowali, żądając podniesienia płacy. Nie opuszczali oni murów fabrycznych, zaopatrzywszy się w żywność. Gdy bracia Hoffrichter przybyli do fabryki, robotnicy otoczyli ich, prosząc, aby się udali do sali jadalnej; tam ich zamknęli na klucz i oświadczyli, że nie wypuszczą, dopóki oni nie podpiszą przygotowanych żądań podwyższenia płacy na różne gatunki towaru. Z początku nie chcieli, lecz po kilku godzinach zamknięcia podpisali. Robotnicy, otrzymawszy taki dokument, nazajutrz wszyscy powrócili do pracy.

W tym czasie kilkakrotnie przyszło do starcia między robotnikami a wojskiem, którego rezultatem byli zabici i ranni.

Gdy rozeszła się pogłoska, że raniony robotnik umarł w szpitalu Czerwonego Krzyża, tłum otoczył szpital i żądał wydania ciała. Robotnik, który nietylko nie umarł, ale miał się lepiej, na wezwanie lekarzy pokazał się tłumowi; ten go jednak nie poznał i wtargnął do trupiarni, gdzie znalazł tylko zwłoki zabitego w dniu poprzednim rewirowego.

Jak donosi „Neue Lodzer Zeitung“ w Zgierzu tłum połamał krzyż i poniszczył nagrobki na cmentarzu prawosławnym.

Do Widzewa—pisze *War. Dn.*,—przybyła partya felczerów i fryzyerów, w celu skłonienia do zaprzestania pracy tamtejsze zakłady fryzyerskie. Ażeby zapobiedz zaburzeniom i zamknięciu zakładów, policya aresztowała kilka osób. Robotnicy z fabryki Heinzla i Kunitzera chcieli odbić aresztowanych, skutkiem czego nastąpiło starcie z wojskiem. Dano salwę, przyczem raniono 17 osób, w tem 4 ciężko.

Do fabryki Hugona Wulfsohna stawiło się 30 tkaczy żydów. Jeden z nich wszedł do kantoru fabrycznego i zwrócił się do zięcia właściciela fabryki, Maksa Kernbauma, z prośbą o podpisanie postawionych warunków. P. Kernbaum chwycił go za kark i chciał wyrzucić za drzwi. Wówczas ten wyjął z kieszeni rewolwer, grożąc, iż strzeli, jeżeli nie otrzyma rb. 500, jako odszkodowanie za „obelgę“, zadaną „delegatowi“. P. Kernbaum zgodził się na „wykup“.

Stowarzyszenie majstrów fabrycznych zwołało narady w celu obmyślenia sposobów rozstrzygnięcia nieporozumień pomiędzy majstrami a robotnikami.

„Po jednej stronie sali—pisze *Kuryer Codzienny*—umieścili się delegaci robotników, po drugiej zaś majstrowie. Pierwsi przemawiali jasno, jędrnie i szczerze popierając dowodzenia swoje faktami z życia fabrycznego. Dowiedzieliśmy się więc, że majstrami są w znacznej mierze Niemcy; mnóstwo między nimi jest takich, którzy ani czytać, ani pisać nie umieją; większość ich szykanuje robotnika na każdym kroku, traktuje go gorzej bydlęcia; wielu majstrów za miejsce w fabryce pobiera opłatę, niekiedy zmusza robotnika do stałego haraczu po kilka kopiejek na tydzień; niejeden majster za brak ukłonu na ulicy wypędza robotnika, nakłada kary za byle przewinienie; każdy prawie wymaga czołobitności i posług, regułaminem fabrycznym nieobjętych; a najgorsze, że z bardzo małym wyjątkiem majstrowie łódzcy nie okazują najmniejszej życzliwości robotnikowi, są jego otwartymi wrogami i jeśli sami zaszkodzić nie mogą, to używają do tego różnych sposobów, a przed żadnym się nie cofają. Były wypadki, że przez majstrów ludzie niewinni karani byli za kradzieże, z winy majstrów—tracili zdrowie, życie. Wielu z majstrów uwodziło dziewczęta-robotnice, to namową, to groźbą, to wreszcie za pieniądze; stręczyło ładniejsze właścicielom fabryk i ich synalom, stąd tak rozwielmożniona po fabrykach prostytucya, bo za panem majstrem idą jego pomocnicy i oficyaliści fabryczni, wszyscy uważając dziewczęta-robotnice za huryski, dla rozkoszy ich w fabryce pracujące“.

Te wszystkie powody, za krzywdy głębokie przez robotników uważane, były najważniejszą przyczyną, że na proponowany przez zarząd Stowarzyszenia majstrów wybór członków do sądu polubownego, któryby regulował nieporozumienia pomiędzy majstrem a robotnikami, delegaci tych ostatnich nie zgodzili się.

„Fabrykanci i w interesie dobra swych fabryk—kończy *Kur. Codz.*—powinni dobierać takich ludzi na majstrów, którzyby idąc ręka w rękę z robotnikami, byli jednocześnie dla fabryk pożytecznymi funkcyonaryuszami. Nie stanie się to przecież, dopóki w fabrykach łódzkich panować będzie nepotyzm, protekcya i dawanie pierwszeństwa Niemcom, zamiast Polakom. Setkami faktów można dowieść, że z Polaków, majstrów, zadowoleni są fabrykanci wszędzie, nawet ta mniejszość, która otworzyła im swe fabryki w Łodzi; tylko owa większość fobrykantów łódzkich iście z niemieckim uporem dotychczas nie może się pogodzić z tą prawdą, że tylko dobry i uczciwy stosunek pomiędzy majstrem a robotnikiem zapewnia ład w fabryce“.

Wśród ludności miasta wzburzenie doszło do tego stopnia, że przy każdej sposobności, przy każdym wypadku objawia się wybuchem. Gdy tramwaj przejechał 60-letnią kobietę, tłum rzucił się na maszynistę i konduktora i poturbował ich ciężko, powybijawszy zarazem kamieniami wszystkie szyby w tramwaju.

FEJLETON

PAMIĘTNIK.

O szczegóły.

Niemal wszystkie pisma warszawskie objawiają nadzwyczajną pohopność do wykrywania, że jakieś tam maleńkie prawo nie jest stosowane na naszą korzyść lub też do świdrowania maleńkich dla nas dziurek w grubych i twardych skałach ustaw państwowych. W ostatnich tygodniach przedmiotem tego ferworu była możność wysyłania telegramów polskich do Cesarstwa. Jak w innych podobnych wypadkach odpowiednie władze po krótkiem wahaniu „pozostawiły żądanie bez skutku“. Nie przeczymy, że nawet ciasny but może bardzo dokuczyć a wygodny—sprawić przyjemność, ale, pomijając stale negatywny wynik owych walk, uświadomić należy, że to ciągłe adwokackie stawianie każdej kwestyi, to zatrzymywanie uwagi ogółu na nikłych różnicach między prawem a jego stosowaniem, to rozdrabnianie jej na mnóstwo spraw szczegółowych, z których żadna nie da się rozstrzygnąć w sposób pożądany niezależnie od innych, odwraca społeczeństwo od zagadnień zasadniczych, co zwłaszcza w obecnej chwili jest dla niego zgubnem. Ci nasi reformatorzy dziennikarscy i ci mężni bohaterowie, którzy w gazetach popisują się z odwagą wysłania polskiego telegramu i skargi do ministeryum na nieprzyjęcie go, ciągle durzą siebie i naród złudzeniem, że zapomocą takich szczegółowych starań i walk zmienią zupełnie warunki jego życia, że swoją energią zdołają rozwiązać kolejno każdy z uciskających węzłów, chociaż dotąd nie rozwiązali ani jednego. Ile to już p. Baranowski zrobił lojalnych ataków, i wszystkie zostały odparte zwyczajnym szczutkiem. Naturalnie on także wysłał telegram polski, ale zakaz ministeryum przyjmowania takich depesz w Cesarstwie nauczy jego, jemu podobnych i jego naśladowców tylko tej prawdy, że takich depesz posyłać nie należy. A zdawałoby się, że tyle razy spuszczony nos na kwintę powinienby nauczyć jeszcze czegoś innego. Tak, ale na to trzeba być pojętnym... *on.*

Solidarność.

Artykuł p. St. Libickiego, napisany z właściwą temu publicyście banalnością stylu i myśli a będący nieudolną odpowiedzią na list W. Sieroszewskiego w *Prawie*, przedrukowały prawie wszystkie dzienniki warszawskie. Byłby ten widok klaszczących rąk i obnażonych głów przed niczem niezrozumiałą zagadką, gdybyśmy nie wiedzieli, że jest to objaw solidarności stadnej. Narodowo-demokraci opanowali prasę i urządzają w niej sobie sztuczne rezonanse. Nie rozbierając wartości i słuszności twierdzeń p. S. L., który chce przekonać, że jego łupina orzecha jest kadłubem pancernika, damy komentarz do finału jego aryi politycznej. „Dla mnie osobiście—powiada on—walka partyjna polska przed forum niepolskiem jest karygodna“. Prawdziwe *cis* górne w duchu narodowo-demokratycznym. Bo gdy przedstawiciele tego ducha ogłosili w *Rusi* swój program i *pierwsi* suflerskim sposobem zbagatelizowali postępowych demokratów, mogą słusznie teraz wołać: „Walka partyjna polska przed forum niepolskiem“ i t. d. Oni tak zawsze robią, kochane chłopaczki. *ł.*

Naturalny produkt.

Zawiele wymagamy, żądając, ażeby tylko uczciwość była czynną i płodną, a podłość zachowywała się biernie i schodziła ze świata bezpotomnie. Gdy potok życia swym nadmiernym wylewem sprawił w ostatnich miesiącach więcej niż zwykle szkód społecznych, gdy rozszerzył koło niedoli a tem samem zwiększył potrzeby ofiarności, można było z góry przewidywać, że do prawych jej zabiegów przyczepią się najrozmaitsze niecne podstępy. Jakoż ciągle słyszymy prywatne i publiczne ostrzeżenia, że tam oszuści zbierają składki w imieniu so-

cyalistów, gdzieindziej okrywają się tytułem jakiegoś „związku" lub „ligi" a w bardzo rzadkich wypadkach spotykają się ze znajomością rzeczy i z energiczną odmową. Uważając te szalbierstwa za produkt naturalny, wytwarzający się zwłaszcza w stosunkach, nieposiadających pożądanego stopnia uprawnionej jawności, musimy zarazem wyrazić zdziwienie nad ogromem łatwowierności i lękliwości w naszem społeczeństwie. Byle łotr budzi zaufanie, lub przeraża dojrzałych ludzi tak dalece, że nawet nie probują sprawdzić jego kłamstw lub odeprzeć jego napaści. Czy to nie wstyd? Dla informacyi dodamy, że o ile nam wiadomo, żadna „partya" przez agentów po domach nie kwestuje, wszyscy więc, którzy tym charakterem się zasłaniają, są rzezimieszkami. *d.*

Ciężka praca.

Na prasę naszą, zwłaszcza tę „demokratyczną" spadł w ubiegłym tygodniu obowiązek, którego ciężkość ten tylko ocenić potrafi, kto go kiedykolwiek spełnił. Jeden hrabia umarł, a drugiemu wskrzeszono w pamięci społecznej wielkiego przodka. Trzeba więc było o obu coś napisać. A tu jak na złość żaden z nich nic zrobił nic godnego uwagi. Ach, gdybyście widzieli, jak nasi „demokratyczni" Plutarchowie powiększali atomy zasług do ogromu wielkich światów, jak rozpaczliwie dęli w trąby, sprawione przez jednego z bohaterów orkiestrze teatralnej, jak ich zamiłowanie do sportu stawiali na jednym poziomie z męztwem Leonidasa pod Termopilami, jak zalewali się potem od tego mozołu i jak w bezprzytomności wołali: „Umarł syt życia i uciech!" Nie spostrzegli, że to nie jest farbą do malowania apologii. Należy ich wszakże usprawiedliwić. Człowiek, zmuszony stwarzać w słowie panegirycznem to, co nie istnieje w rzeczywistości, musi stracić rozum i dojść po nadmiernym wysiłku do takiego stanu, w którym plecie niebywałe brednie i każe np. ordynatorowi Zamojskiemu krzyczeć: „Niech żyje demokracya". „Precz z wyścigami konnymi". *g.*

Opiekunowie weneryanek.

Mucha nakreśliła humorystyczny obrazek surowego papy, który gromi swą córkę za płytkie wycięcie sukienki pod szyją, a potem każe jej pisać kwit z odbioru komornego od takiej pani, co to wycina w swych stanikach kliny bardzo głębokie. Ogłoszona przez *Kuryer Codzienny* lista właścicieli domów, w których zdarzyły się niegrzeczności względem weneryanek, świadczy, że pomysł *Muchy* nie jest wcale fantastyczną satyrą, ale fotografią z rzeczywistości. Śród owych bowiem gospodarzy, wynajmujących mieszkanie rozpuście dlatego, że ona dobrze płaci a złorzeczących jej słowem, bo to nic nie kosztuje, znajdują się nazwiska mężów—jak mówi inne pismo—„bardzo poważnych". Nas to wcale nie dziwi i nigdy nie braliśmy na seryo zgrozy kamieniczników, piorunujących przeciwko „zanieczyszczaniu ulic plugastwem", gdyż byliśmy przekonani, że w wielu razach przemawiała z nich utajona zazdrość względem sąsiadów, posiadających niewybredne a hojne lokatorki. I znane nam są wypadki, w których okrutny Kato, wynajawszy weneryankom lichy lokal za drogie pieniądze, nagle umilkł a przynajmniej przestawał ustawicznie domagać się, ażeby Kartagina była zniszczona. Niech czytelnik wszakże nie sądzi, ażeby ukrytym celem naszych uwag był nacisk na naszych *bourgeois gentilhommes*, ażeby zamknęli swe domy przed szkołami rozwiązłości. Jest to instytucya ich własna, muszą więc dać jej pomieszczenie. *o.*

Niebezpieczeństwo kontrpary.

Skoro po dwumiesięcznem straszeniu ludzi znikła „krwawa Wola", to musiała również zniknąć „krwawa topola". Stoi ona na szosie Radzymińskiej i miała być posterunkiem opryszków, którzy przy niej napadali mordowali i grabili. Kto przez parę miesięcy zmyślał jej „krwawość" — nie powiedziano, ale przyznano również, że pomieszczane pod jej tytułem w pismach okropności były skłamane lub przesadzone. Należy się spodziewać, że z kolei nastąpi restytucya sławy innych przedmieść, że okolice i krańce Warszawy uznane zostaną za najbezpieczniejsze dzielnice świata. Jakkolwiek miło nam słyszeć o ich rehabilitacyi, nie radzimy ze zbytnią ufnością jechać w przeciwnym kierunku i kłamać ostateczność przeciwległą, niż dotychczasowe malowane dyabły. Pomimo wszystkich zaprzeczeń i sprostowań nasze szosy i przyległości miejskie w promieniu kilkomilowym od Warszawy są niewątpliwie drogami i gniazdami złodziejstwa i rozboju, działającego z bezczelnem zuchwalstwem i bezkarnością. Mistyfikatorzy donosili o wypadkach jaskrawych, lecz gdyby nasi chłopi w tym obrębie opowiedzieli codzień wszystko, co ich spotkało od złoczyńców bądź w domu, bądź w drodze do Warszawy, mielibyśmy nieprawdopodobną ilość łotrostw i kradzieży zwyczajnych, ale w swej sumie przerażających. Zaiste warto, ażeby reporterzy urządzili u nich wywiad, zebraliby ciekawszy materyał, niż po ostukaniu i osłuchaniu mózgu primadon. *h.*

Gdzie najwinniejsi.

Wszystkie pisma opisywały przebieg pogromów, wypowiadały przy tem różne uwagi mniej lub więcej trafne, mniej lub więcej potępiające z równą pogardą „alfonsów", „sutenerów", „prostytutki", „wesołe panie", „damy z półświatka" i t. d. Lecz ani jeden głos, tak, ani jeden nie wspomniał o tych, którzy właściwie dają utrzymanie zarówno prostytutkom, jak i sutenerom, o tych, dla których te wszystkie domy rozpusty istnieją. A jednak zdawałoby się rzeczą tak naturalną, iż w chwili, gdy tłum burzy gniazda brudu, a zarazem hańby społeczeństwa, wyrażając swój protest z siłą żywiołową, należałoby napiętnować tych, którzy dla zadowolenia swych instynktów zwierzęcych pogrążają tysiące istot ludzkich w kałuży błota, z której nic i nigdy wydobyć ich nie jest w możności. Należałoby napiętnować naszych „zacnych i szanownych" obywateli, naszą młodzież, naszych synów, braci, mężów, ojców! Wskazując im tłum roznamiętniony, biegnący od jednego siedliska kupczenia ciałem do drugiego, należałoby zawołać:

„Oto policzek dla was!"

Tak, to policzek dla wszystkich mężczyzn, patrzących z uśmiechem ironicznym na nieliczną jeszcze niestety gromadkę ludzi, którzy ośmielają się podnosić głos przeciwko uświęconej wiekami „podwójnej moralności"; policzek dla tych, którzy niezłomnie pragną korzystać z przywileju swej płci, opartego na rzekomych prawach natury i którzy z wstrętnym cynizmem twierdzą, iż dla zadowolenia ich zmysłów pewien procent kobiet musi żyć w ohydzie i pogardzie. Dla tych, którzy zostawiają w tych domach rozpusty nietylko pieniądze, lecz zdrowie, młodość, wiarę w ideały piękna, świętości! którzy wychodzą stamtąd stokroć bardziej zbrukani, niż te istoty pogardzone, odtrącone i niejako wyzute z człowieczeństwa, gdyż one kupczą swem ciałem — dla chleba, a oni popełniają zbrodnię na sobie i innych dla zaspokojenia swych nieokiełznanych instynktów zwierzęcych.

Lecz policzek to i dla nas kobiet, dźwigających niewolniczo ten poniżający stan rzeczy, nieumiejących zaprotestować dość silnie i skutecznie.

Nic tu nie pomoże nawoływanie do wzmożenia działalności „Towarzystwa ochrony kobiet". Dajmy na to, dziś można oddziałać skuteczniej na pewną cząstkę kobiet upadłych, wyciągnąć je z tej topieli. Lecz na ich miejsce znajdą się setki, tysiące!

Nie tu powinniśmy zwrócić wszystkie nasze siły.

Naszym zadaniem powinno być usunięcie brudu z naszych domów, sprowadzenie na właściwe tory opinii, aby piętnowała nie ofiarę, lecz krzywdziciela, wreszcie wychowanie nowego pokolenia, któreby w kobiecie widziało—obywatelkę, towarzyszkę pracy, matkę, siostrę i żonę—lecz nie narzędzie rozkoszy.

Marja Bujno-Arct.

Z łaski.

Słuszną sprawę przypomiał *Kuryer Codzienny*, sprawę którą już nieraz podnosiliśmy. Przyjął się u nas zwyczaj, że ludzie, przystępnjący do jakiejś pracy społecznej, i poświęcający jej pewną ilość czasu i energii, wymagają od ogółu ciągłych dziękowań, bezgranicznego zaufania i ustawicznego zachwytu. Skoro ktoś ośmieli zapytać o pewne wyjaśnienie, skoro ktoś odważy się skrytykować te lub inne środki, to wtedy wielcy ofiarnicy z zachmurzonem czołem zakładają ręce i mówią: róbcie sobie sami. Czas już, aby się ta idylla skończyła. Pomimo gniewów przeróżnych potentatów legalnego czynu musimy dojść do tego, aby każda praca społeczna podlegała ocenie społeczeństwa, aby wszelkie rachunki z używania grosza publicznego były dostępne dla tych, od których się ten grosz bierze. Łaski ogół nasz nie potrzebuje. Niech będzie otwarty dostęp do pracy społecznej dla wszystkich, a znajdzie się wielu, którzy do niej się wezmą nie z filantropijnej chęci czynienia dobrze, lecz z poczucia obowiązku i solidarności. Dzisiaj naskutek nieprzyjaznych warunków kierownictwo przeróżnemi poczynaniami zmonopolizowało w swych rękach grono jednostek, nietyle powołanych, co wybranych przez samych siebie. Dlatego ogół musi żądać ścisłych rachunków, i żadne obrazy nie pozbawią go tego prawa. Chyba że, nie będą owe komitety zwracać się do nas o pomoc pieniężną. *cr.*

Ciekawa narada.

Jak wiadomo od jakiegoś czasu obraduje u nas koło właścicieli domów nad sprawami własnemi. Otóż obecnie obrady ich objęły szersze zagadnienia, a w jaki sposób są one tam traktowane, o tem najlepiej informuje następujący urywek ze sprawozdania, podanego przez „Kuryer Poranny": „W toku rozpraw prezes koła p. Jan Radwański zaproponował zastanowić się nad tem, czy pomoc mieszkaniowa (idzie tu o pomoc robotnikom, pozostającym bez zajęcia) nie działałaby na szkodę przemysłu wobec zauważyć dającego się obecnie rozluźnienia społecznego". W wyniku rozpraw nad tem pytaniem postanowiono pomoc okazać tylko tym robotnikom i rzemieślnikom, którzy są „cisi i spokojnego serca" albowiem, jak twierdzi p. Filipowicz—nie pora obecnie skarżyć się na wyzysk, którego problematu nie rozwiązali nawet ludzie bardzo uczeni".

Czyż może co bardziej charakteryzować budzącą się „do życia" naszą burżuazyę? Pomimo wstrętu do „zgniłego Zachodu" stanowisko, jakie zajmują nasi „tytularni" demokraci wszelkiego gatunku, bliźniaczo przypomina mieszczaństwo wszecheuropej-

skie. Jasne i wyraźne stanowisko klasowe jest koniecznością normalnego życia, tylko że u nas owo uświadamianie odbywa się w konkretny sposób. Z jednej strony przedstawicielstwo pewnej klasy, przywłaszczone przedstawicielstwo całego narodu, a z drugiej zginanie się wpół w takt słów: „ależ święta racya, panie naczelniku, święta racya!“ Niepotrzebnie ci panowie zaszczycają klasy pracujące swemi względami: po jałmużnę od takich żaden nie pozbawiony godności ludzkiej robotnik ręki nie wyciągnie. On wie, skąd ma oczekiwać pomocy i rozwikłania spraw związanych z jego bytem, nie będzie się pytał o radę najuczeńszych nawet reporterów lub właścicieli choćby trzech kamienic.

Niepotrzebnie wszyscy ci panowie tracą czas na oświetlanie „położenia". Każdy zamożny przemysłowiec wie dobrze, że przeróżni adwokaci, doktorzy, finansiści i innego kalibru kamienicznicy zawsze będą się starać o jego przychylność, a przecież nie sądzą panowie z koła, aby wśród robotników znalazł się taki naiwny, któryby uwierzył w ich przychylność i obywatelski zapał. *xy.*

BADANIA NAUKOWE

PROBLEMAT PRAWDY
u Fr. Nietzschego.

Dokończenie.

Nie jest zresztą zadaniem umysłu ujmowanie istoty rzeczy został on przydany najnieszczęśliwszym, najdelikatniejszym, najbardziej znikomym stworzeniom, jako środek pomocniczy, po to aby je utrzymać na chwilę przy istnieniu. „Prawda“ mogła tylko w ten sposób powstać, że, aby usunąć najbrutalniejsze *bellum omnium contra omnes*, zgodzono się na to, co odtąd za prawdę uchodzić powinno. Być prawdomównym znaczy tyle, co posługiwać się zwykłą przenośnią, tyle, co „kłamać w sensie ogólnym, stadowym, wszystkich obowiązującym“. Prawda jest zjawiskiem potrzeby społecznej, zjawiskiem eudemonistycznem. Wprawdzie wiara w logikę jest do życia konieczną, bez niej żyć niepodobna, ale — „panująca filozofia“ powinna zważyć, do jakiego stopnia nauka może wzrastać bez szkody dla życia.

Stanowisko Nitzschego, podporządkowujące poznanie życiu, ulegnie znacznym zmianom, jak już nadmieniłem, w okresie pozytywizmu. Ten okres, sam w sobie nadzwyczaj ciekawy i pouczający, ma jednak dla Nitzschego znaczenie zaledwie epizodyczne. Po mglistej symbolistyce Schopenhauerowsko-Wagnerowskiej estetyki nastąpił zupełnie naturalny przesyt i potrzeba kuracyi, do której radykalnych środków należał „réealizm" (od nazwiska Pawła Rée, autora „Powstania czuć moralnych").

W pewnej chwili tego okresu Nitzsche skłania się do poglądu, że „życie może być eksperymentem poznającego podmiotu". Lecz to mija. Już w końcu tego okresu nuci [1]): „Im Norden — ich gesteh's mit Zaudern liebt' ich ein Weibchen alt zum Schaudern:

„Die Wahrheit“ hiess dies alte Weib...“

Najważniejszym dla naszego zagadnienia jest okres ostatni samodzielnej twórczości, „przeszacowania wartości“.

Krzyżują się w nim ustawicznie dwa pytania: jedno, tyczące się możliwości poznania prawdy, drugie—wartości prawdy. Ze względu na możliwość prawdy Nitzsche poddaje więcej, niż skrupulatnej analizie wypowiedzenie [2]): „myślę“. „Rozkładając sprawę, zawartą w zdaniu „ja myślę“, otrzymuję szereg śmiałych twierdzeń, trudnych lub wprost niemożliwych do uzasadnienia, — np., że to *ja* jestem, który myśli, że wogóle coś musi być, co myśli, że myślenie jest skutkiem i działalnością istoty, pomyślanej, jako przyczyna, że istnieje „ja", że wreszcie jest pewnem, co myślenie oznacza, — że *wiem*, czem ono jest“. — Zamiast tedy „bezpośredniej pewności“, w którą może sobie „lud" wierzyć, otrzymuje filozof szereg pytań metafizycznych do ręki. „Bezpośrednia pewność", „absolutne poznanie", „rzecz w sobie" zawierają w sobie zawsze *contradictio in adjecto*. Kto, odwołując się do pewnego rodzaju intuicyi poznania, chciałby na tamte pytania metafizyczne natychmiast odpowiedzieć, temu filozof dzisiejszy da z uśmiechem do zrozumienia: „Mój panie, nie jest prawdopodobnym, abyś się Pan nie mylił, ale pocóż koniecznie—prawda?"

Co zmusza nas wogóle do założenia zasadniczej różnicy pomiędzy „prawdą" a „fałszem?" Czy nie wystarcza założenie stopniowania pozorności? Wprawdzie wiara w przeciwieństwa wartości jest wiarą zasadniczą metafizyków, kryjącą się po za wszelkiemi ich operacyami logicznemi, ale można wątpić nasamprzód, czy przeciwieństwa wogóle istnieją, a następnie, czy owe „ludowe" szacowania i przeciwstawiania wartości nie są przypadkiem tylko tymczasową perspektywą, pierwszoplanową oceną. Jest bowiem rzeczą możliwą, że pozór, żądza ułudy posiada dla życia wyższą i bardziej zasadniczą wartość, niż „żądza prawdy". Jest to jedynie „przesąd moralny", że prawda ma większą wartość, niż pozór. Wiara w metafizyczną, bezwzględną wartość prawdy jest niczem innem, jak tylko ostatecznem, najbardziej uduchowionem, „ezoterycznem" sformułowaniem „ideału ascetycznego"; z chwilą jednak zaprzeczenia wiary w ideały ascetyczne powstaje nowy problemat: *wartości prawdy*. Prawdomówność, po obaleniu wszystkich innych wartości, wyciąga w końcu swój najsilniejszy wniosek—*przeciwko* samej sobie.

Nietzsche usiłuje jeszcze i w inny sposób podminować wartość prawdy.

Wszelkie nasze narządy poznawcze (twierdzi w tomie XV-ym wyd. pośm.) rozwinęły się ze względu na warunki utrzymania i wzrostu. Ufność w rozum, w jego kategorye, w dyalektykę, słowem szacowanie logiki dowodzi tylko jej użyteczności dla życia, nie zaś jej „prawdy".

W rozwoju kategoryi rozumu miarodajną była potrzeba „schematyzowania", „podsumowania" w celu obliczalności i oryentacyi—motywem tego rozwoju była pożyteczność utrzymania, nie zaś jakaś oderwanie-teoretyczna potrzeba „nie być oszukanym".

Zasady logiczne nie wyrażają konieczności, lecz tylko brak pewnej władzy: że jednego i tego samego nie udaje się nam jednocześnie potwierdzić i zaprzeczyć, jest „doświadczeniem podmiotowem", wyrażającem nie „konieczność", lecz tylko „niemożność". Jest to „przymus biologiczny", niedający żadnej rękojmi „prawdy".

Tkwi w nas głęboko „instynkt użyteczności"—jesteśmy prawie tym instynktem,—lecz jakaż naiwność chcieć przez to dowieść, że posiadamy „prawdę w sobie!.."

Tak się przedstawia w najogólniejszem, naturalnie naszkicowaniu zniszczenie pojęcia prawdy.

Natomiast jego konstrukcya spoczywa na specyficznej psychologii Nietzschego, według której, jak wiadomo, zasadniczym pierwiastkiem duszy jest „żądza potęgi". Z tego stanowiska „intelekt ceni, oddaje pierwszeństwo, a zatem uważa za prawdziwą hypotezę, zawierającą maximum uczucia potęgi i pewności". „Swą najmocniejszą i najsilniejszą zdolność i moc intelekt uważa za kryteryum wartości, a więc prawdy".

Że stanowiska uczucia prawdą jest, co je najmocniej pobudza; ze stanowiska myślenia, co mu daje największe uczucie siły, ze stanowiska dotyku, wzroku, słuchu to, przy czem trzeba wykonać największy opór,—słowem, „najwyższe stopnie wysiłku budzą wiarę w prawdę przedmiotu, t. zn. w jego rzeczywistość". Są więc „stopnie rzeczywistości", dla których miarodajnem jest stopniowanie naszego uczucia potęgi.

Od wzrostu potęgi zależy wzrost poznania, „prawda bowiem nie jest czemś, co istnieje i co należałoby odnaleźć, lecz czemś, co należy stwarzać, co nadaje imię procesowi, w większym jeszcze stopniu—nie mającej końca żądzy podboju, opanowywania: —prawdę wkładać, jako pewien *processus in infinitum*, jako czynne określanie, nie zaś uświadamianie czegoś trwałego, już w sobie określonego".

Przykładem takiego „określania czynnego" może być „wkładanie przez Nietzschego sensu" w chaos stawania się: „Na stawaniu się charakter bytu wycisnąć—jest najwyższą żądzą potęgi. Że wszystko powraca, jest najskrajniejszem zbliżeniem świata stawania się do świata bytu: „szczyt rozważania".

Zdaje się, że Nietzschemu bardzo zależało na przezwyciężeniu sceptycyzmu. Tego przynajmniej pozwalają się domyślać jego namiętne tyrady, skierowane przeciwko wszelakim „ephektykom, hektykom ducha".

Nie opuszczała go wizya obojętnego, zrezygnowanego Pyrrhona...

Otóż, ze stanowiska historyczno-naukowego próba Nietzschego nie wytrzymuje krytyki. Wypowiedziane przezeń kryteryum prawdy (jednoznaczne z probierzem wartości wogóle) opiera się wyłącznie na zasadzie „potęgi", równa się pewnemu „quantum zorganizowanej potęgi". Lecz owa „potęga" jest wielkością „urojoną", oderwaną od wielkiej treści danego doświadczenia, *pojęciem metafizycznem*, wobec którego sceptyk starożytny mógłby zachować równie, jak wobec wszystkich innych pojęć tego rodzaju, zimną krew i pobłażliwość. Mógłby mówić: to, co dla ciebie, Nietzsche, jest potęgą i siłą, jest dla Alfreda Fouillée—niemocą i słabością.

Natomiast co się tyczy zniszczenia Nietzschego, które go zbliża dosceptyków, to—czyż stąd, że nie poznajemy, nie poznaliśmy i nie poznamy owej znakomitej „istoty rzeczy", że nie hołdujemy bożkom „ideału ascetycznego", że kategorye naszego rozumu „rozwinęły się", że są generalizacyą doświadczenia gatunkowego—czyż z tego wszystkiego wynika bezwartość prawdy? —Nie, bynajmniej nie wynika. Konieczność myślowa jest koniecznością psychologiczną, której żadne rozumowanie wypędzić nie zdoła, poprostu dlatego, że każde, najbardziej „sceptyczne", rozumowanie przypuszcza ją już i na niej się wspiera. Sceptycyzm został nietyle „przezwyciężony", ile zasymilowany i przekształcony przez naukę krytyczną i pozytywną.

Znaczenie zasad polega według H. Höffdinga na ich kierowniczej roli w naszych usiłowaniach zrozumienia świata. Prawdziwość pewnej zasady oznacza, że z jej pomocą możemy pracować; prawda zasad po-

[1]) Lieder des Prinzen Vogelfrei, jako dodatek do Radosnej Nauki.

[2]) Tam VII. str. 25 i nast.

znania spoczywa jedynie na tem, że z ich pomocą możemy posuwać się naprzód w zrozumieniu — w stałem porządkowaniu i powiązaniu zjawisk. Pojęcie prawdy jest pojęciem dynamicznem, o ile wyraża pewien, określony sposób zastosowania energii myślowej, i pojęciem symbolicznem, o ile oznacza nie jakąś równość, nie jakieś podobieństwo jakościowe do przedmiotu absolutnego, lecz jedynie podobieństwo stosunkowe, analogię pomiędzy zdarzeniami w rzeczywistości a naszemi myślami. Naiwne pojęcie prawdy, według którego poznanie mogłoby tylko wówczas być prawdziwem, gdyby odbijało, odźwierciadlało „rzeczywistość”, upadło z chwilą, gdy zaczęto twierdzić podmiotowość jakości zmysłowych. Lecz owa „podmiotowość” bynajmniej nie mówi o ich nieważności, nieużyteczności oryentacyjnej. Są one niejako sygnałami, symbolami, których wzajemne następstwo kolejne możemy tłomaczyć, jako wyraz szeregu przedmiotowego zdarzeń, aczkolwiek nie da się dowieść, że są one tego szeregu „*odbiciem*”. To samo tyczy się zasad logicznych i innych fundamentalnych założeń naszego poznania.

Fr. Nietzsche, rozpatrywany jako wypadek indywidualny, dowiódł innej niezmiernie ważnej rzeczy, na którą chciałbym położyć możliwie wielki nacisk.

Tej mianowicie, że *pomimo sceptycyzmu umysłowego, można być dogmatykiem woli.* [1])

Najwcześniejszy przedstawiciel tamtego kierunku filozoficznego zaczynał rezygnacyą bezwolnem, przedwczesnym znużeniem, ostatni jego wyraziciel, „pierwszy nihilista Europy, który nihilizm w sobie przeżył do końca, który go ma za sobą, pod sobą, po za sobą” odkrywa nowe wyspy życia, *stwarza* nową wiarę w życie...

Nietzsche należy, jeżeli nie w większym, to w tym samym stopniu do historyi sztuki, co i nauki. Zaś nauka *i* sztuka składają się na całość postawy uczuciowej, którą nazywamy światopoglądem i która może i powinna wpłynąć na kształt i treść poglądu na życie.

A. Reybekiel.

[1]) A. J. de Gaultier, De Kant à Nietzsche.

LITERATURA I SZTUKA

Charles van Lerberghe.

Na monotonnej równinie Flamandyi, wśród licznych kanałów, żyznych pól, starych mostów wytworzyła się podwójna kultura ducha. Wspomnijmy Rubensa, Jordaens'a, Teniers'a, ich krwistość i fizyczną siłę lub ze współczesnych choćby ponure, czerwono-słoneczne wizye Verhaeren'a. A obok tej impulsywnej strony życia psychicznego, obok tych silnych, wulkanicznych natur, zakwitła inna—kultura jaźni ludzkich. Wśród licznych jarmarków, wśród zmysłowo pierwotnego ludu, wśród silnych płuc, dobrych gardeł, gruboskórych twarzy, szerokich pleców i krępych postaci — wyrósł dziwny, subtelny, cieplarniany kwiat zadumy, o uroku cichego poranku, lub pogodnego, lekko chmurnego zachodu. Kulturę tę wypowiedzieli, wyśpiewali twórcy, urodzeni na tych polach pokrytych długiemi pasmami oparów i mgły. Wspomnijmy Khnoff'a, Rodenbach'a, Maeterlinck'a i innych. Wśród nich odrębne miejsce zajmuje zadumany w świetle księżyca, zasłuchany w srebrzystą grę promieni Charles van Lerberghe. Z tą pierwotną stroną kultury flamandzkiej nic go nie wiąże. Ładnie określił jego istotę znany literat Albert Machel. „Jest to idealista najzupełniejszy, niema nic w jego twórczości flamandzkiego, choć urodził się on w Ledeberg pod Gandawą. Przez formę klasycznie czystą, poczucie helleńskie i subtelność języka, jest on prawie poetą angielskim, jeżeli brać pod uwagę obrazy, które lubi dobierać.

Dwie pieśni słychać wśród tych żyznych równin. Z jednej strony stalowe uderzenie młota i podziemny łoskot wulkanów namiętności, z drugiej... Zdala od gwarnych maskarad i pochodów leży cichy zakątek kanału, a nad nim drzemią stare drzewa, objęte snem o tych odległych czasach, kiedy po falach snuły się postaci aniołów o długich skrzydłach i smętnych obliczach. Na wodę cichą, pogodnie rozmarzoną czasem nagle padnie przez liście promień zachodzącego słońca, ożywi roześnione drzewa i rzuci na falę jasną, świetlaną słoneczność. Ta chwila—to symbol tajemnicy duszy Lerbergha, to nuta jego cichej, spokojnej, melodyjnej pieśni.

Niezwykle to człowiek małomówny. Wśród gwarnej gromady poetów od czasu do czasu ujrzeć można zasłoniętego płaszczem samotnika, który, nie widząc nikogo i przez nikogo niewidziany, dąży kędyś przed siebie. Usta jego milczą, pieśni nie nucą. A tylko oczy mówią o zapatrzeniu, o tlejących iskrach na dnie duszy. Czasem tylko wyszepcze on słowo, czasem na krótko zabrzmią struny jego liry. Jedni z tych małomównych ujmują wielkie obrazy życia zjawisk zewnętrznych,—oceany tego, co z szumem i hukiem pędzi przez ostępy dziejowe. Inni malują znów życie swego serca proces powstawania uczuć; odczucie zderzeń i uderzeń pochłania ich twórczość. Są jeszcze inni samotnicy małomówni. Do nich należy Lerberghe. Ci zapoznawszy życie, tak zwane zewnętrzne, zapoznają mękę, katusze, bóle, cierpienia, i z półuśmiechem na ustach patrzą na świetlane swe wizye, słyszą szemrzące zdroje zaświatów, żyją nieskończonością.

Charles von Lerberghe pisał niewiele. Urodzony w 1862 r. wydał on dwa zbiory poezyi i dramat. Te piękne utwory stworzyła nie chwilowa potrzeba mówienia, nie kaprys twórczy, lecz wielka, wewnętrzna synteza, wyrażająca w symbolu słowa treść całości istoty duchowej poety. Jest to synteza indywidualna nastrojem, napięciem i odcieniem, silna skupionem uczuciem, silna cichą melodyą dźwięków. Po długich chwilach wahań, łamań się wewnętrznych i poszukiwań, znalazł Lerberghe swe słowo; dojrzał ukryte drzwiczki, wiodące do najwewnętrzniejszych komnat ducha i wszedł tam, kędy tylko cichy a silny wejść może. Ujrzał tam płomienie łagodnego słońca, tkające srebrzyste tkaniny, ujrzał wiotkie dziewczęce postaci o smukłych ciałach i tęsknych oczach, ujrzał wysokie lilie, białe łabędzie i miłe śpiewne fontanny. I było to życie, była to jego — wizya życia...

Całą twórczość poety cichych promieni jednoczy radosna jakaś zaduma, rozkochana w życiu. Nie jest to upojenie żądzą gwałtowną a palącą, nie jest to wir wrzawy, lub rozkosz zapomnienia, wielkie ukochanie świątlanej gry fali, woni kwiatów szmeru liści i cichej, w tych odgłosach znajdującej bratni oddźwięk, nieuchwytnej melodyi ducha. Radość ta obcą jest ruchowi, wrzeniu; ona pije woń z kielichów, chciwie zwracających się ku słońcu, ona pije dźwięczne uderzenie lazurowej fali o słoneczne brzegi – ona łączy łagodną świetlaność ze wspomnieniem o krainach, leżących po tamtej stronie.

Poeta mówi w „La chanson d'Eve”: „ne cueille des choses que la fleur”. Słowa tę streszczają jego ujęcie istoty rzeczy.

Z każdego zjawiska formy mniej lub więcej wyrazistej i plastycznej, z każdego odrębnego istnienia żywego czy martwego, obok treści kształtu i treści wewnętrznego znaczenia lub życia, wykwita tajemniczy kwiat, który łączy wszelkie niedające się określić jego uczuciowe właściwości, streszcza tajemnicę zawartą w każdem poszczególnem zjawisku, oderwanem od łańcucha łączności z innemi, jest mistycznym symbolem inaczej niedającej się ująć wrażeniowej, nastrojowej części jego energii oddziaływania na inne punkty w przestrzeni. Ten kwiat to lilia w ręku Ewy, to treść poezyi Lerbergh'a...

Niezmierzonym jest ocean życia. Każda kropelka, iskierka każda jest wielką, samodzielną nutą, jest światem odrębnym. Jedna z nich ujął poeta w formę tonów i stworzył poemat o budzącej się Ewie, o narodzeniu się świadomości życia, świadomości radości istnienia. Pieśń Ewy jest czysta, promienna i prosta, jak kropla rosy, jak odblask kryształu. — W odległej grocie, o dnie z pereł a ścianach z opali, na łożu z róż i lilii ocknęło się dziecię. Dziecię o złotych włosach unosi się na posłaniu i — patrzy. U stóp jej bije szemrząca fontanna; wkoło niej — kwiaty. Wdali — słońce pogodnie jaśnieje i snuje kapryśne swe promienie po piersi fal—a one, drżące, rozkochane poruszają się zwolna, radosne, świetlane. Pierwszy głos Ewy to okrzyk radości. Rozbrzmiewa kaskadą jej śmiechu; urywane dźwięki pieśni, nuconej wiośnianemi usty, łączą się ze szmerem fontanny, z poszumem fali. Nuci ona: „czyż ja to nie wy, a wy to nie ja, rzeczy, których palce moje dotykają? Kwiaty, któremi oddycham, i słońce, którem płonę?” Krew jej uderza rytmem morza, oczy błyszczą połyskiem gwiazd, dyszą usta zapachem róż, a dusza czerpie siłę swą ze słońca, z radosnego, jasnego, promiennego słońca. Jest ona kwiatem życia. Nie zna, co prawda a fałsz; jest to królewna zaczarowana, zamieszkująca rozległe ogrody zdala od kategoryi myśli i uczucia. Oddycha świeżością łąk, żyje promieniami słońca, raduje się weselem i łącznością z niebem, ziemią, słońcem i oceanem. Po długich chwilach pierwszego upojenia istnieniem poczyna Ewa rozróżniać pojedyńcze głosy; poczyna słyszeć nietylko dźwięki, lecz i treść pieśni. I słyszy jakieś wołanie: „Za mną pójdź, za mną pójdź”. Nie wie skąd płynie ten głos, nie wie dobrze, co on oznacza, i przejmuje ją nieznane drżenie. Otwierają się przed nią niewidzialne dotąd wrota. Kto woła, nie wie tego Ewa, lecz czuje, że „boski być musi ten, który w ten sposób nadchodzi”. Po za kwiatem dojrzała ona—owoc. I drży. Dźwięki te idą ku niej, jako szmer liści, lekko opadających na ziemię. A drżenie to znak obecności — Jego. I stało się to, co było pierwszą nutą nowej pieśni Ewy.

Na brzegu gaju ujrzała go; oparty o drzewo, pokryte złotym owocem stał młody bóg. Róże kwieciły jego kędziory, a twarz—twarz była jako miłość. Spoglądał ku niebu—patrzał na bladą gwiazdę. Patrzał—a w jego wzroku było pożegnanie.—Zakwitł u stóp Ewy kwiat nowy. Kielich jego był biały i dumny, łodyga wysoko sięgała ku niebu: była to miłość, było to uczucie wyodrębnienia z jednolitej całości. Poczuła wtedy, że kwiaty, drzewa, fale istnieją—po za nią, że żyje ona innem życiem. Chęć powrotu, obawa opuszczenia zlekka przyćmiewać poczęła radość i wesele, jakie tworzyło nowe uczucie. Lecz świeży promień przemógł wszystko i Ewa zanuciła pieśń nową. Przy świetle księżyca

prowadzi długie gawędy z mieszkankami wód; syreny nucą jej o tem, o czem ona — nie pamięta. Mówią jej o grocie, o ścianach z opali, kędy ujrzała świat. Mówią jej o tem, co dotąd skrzydłami swemi odstraszali od niej aniołowie biali. Ona zadumana spogląda na srebrną łuskę ich ciał, a one, zwolna płynąc przy brzegu, nucą jej: „Ty jedna przychodzisz do nas, ty jedna nie znasz lęku przed pójściem tam, kędy tajemniczo pociąga cię serce twoje.

Nieznane dotąd otaczają ją postaci. Nie są to słodcy aniołowie, lecz jakieś inne duchy, choć tamtych przypominające. Są to płomienie, kwiaty, szmery, podmuchy, fale. I dziwne krzewy, i dziwne zwierzęta. Biały, jednorożec kładzie się u stóp Ewy i odtąd nie opuszcza jej. Biały łabędź spływa z powietrza ku niej i kładzie na nią, półśpiącą swe rozłożone skrzydła. Pod jedwabnemi pióry, drży serce dziewczęcia— i zdaje się jej, że całe jej białe ciało pokrywają róże. Sen ulata, — i ptak biały pierzcha. A coraz wyraźniej słyszy Ewa zbliżające się kroki, coraz głośniej uderza w jej piersi serce. Pieśń jej inaczej rozbrzmiewa: „Idę. Zbliżam się, idę ku tobie, o Nieznany, który mię pociągasz i obejmujesz swemi pieszczoty. I mówię słowo, któregom wyrzec nie śmiała"...

I stało się. Jasny bóg dni pierwszych zamarł naskutek wzrastających płomieni nowego ognia. „Zabiłam go, zabiłam go?— nuci Ewa, a dusza jej cieszy się. Poznała miłość, poznała śmierć, poznała istotę wszechżycia. Czuje się wyzwolona. Zasłona jakaś, niewidzialnie ją okrywająca, opadła, i nowe życie dla niej zajaśniało. Poznała piękno swego ciała, poznała pragnienie roskoszy, chęć zawrotną szału. Poznała piękno — tańca. A pieśń jej znowu brzmi inaczej: „Tańczę i śpiewam i tańczę. Tańczę nagiem ciałem dumnie i świetlanie, jako wąż w trawie wysokiej. Tańczę i płynę po powietrzu, jak piekielny płomień. Tańczę aż do zmęczenia duszy, upojonej tańcem i rozkoszą".

Jasną symfonię zamyka smętny, melancholiczny koniec. Poznawszy upojenie najwyższe, zapragnęła Ewa dotrzeć do ciemnej groty, kędy spoczywa—Prawda. Na progu spotkał ją anioł Azrael ze zwiastowaniem śmierci. Gaśnie Ewa pogodnie, cicho, bez zgrzytu i goryczy. Gaśnie, jako mrze kwiat, jako cichnie śpiew fali.

Podobnie prostą, jednolitą i skupioną jest Lerberghe'a udramatyzowana legenda o oczekiwaniu śmierci p. t. „Les Flaireurs". Jest to drżenie wyczekiwania, lęk przed nieznanem, lęk, jako taki, mówi Machel. Przeczucie wypowiadane w słowach dialogu ma w sobie wiele powagi i napięcia. Bez ozdób, bez upiększeń poeta sugestyonuje uczucie trwożnego uderzenia serca.

Nastrój w poezyi Lerbergha odgrywa główną rolę. Przy pomocy niewielu głosów, paru dźwięków budzi on w czytelniku ciche uczucie, a potem łączy je z całym szeregiem następnych, wywołanych tym samym sposobem. Mowa jego jest niezwykle zharmonizowana. Prostota kunsztowna techniki podnosi jednolitą złożoność poezyi Lerberghe'a, podkreśla świeżość obrazów i napięcie wewnętrznego skupienia. Technikę tę trafnie określa Machel w swoim hymnie pochwalnym na cześć Lerberghe'a: „Subtelne muśnięcie dźwięków słownych nasuwa treść tego, co się określić nie daje; poszczególne postaci łączą się w obrazy, w których panuje jasność, harmonia i cisza. Niema tu prawie ruchów, są tylko gesty, zwolna się odmieniające; jest to balet idealny, w którym taniec polega na przegięciu ramienia lub pochyleniu głowy". Dźwięczność wiersza doprowadził Leberghe do doskonałości. Niewymuszony, prosty sposób jego mowy cechuje niezwykłe mistrzostwo ręki i umiejętność prowadzenia melodyi bez dodatków zwykle używanych dla podniesienia wrażenia. Używa on drobnych, małych obrazów, które szybko przesuwa przed oczyma czytelnika, budząc w ten sposób nastrój ogólny.

Należy jeszcze choć wspomnieć o stylowości poezyi Leberghe'a. Wiersz jego cechuje wewnętrzne i zewnętrzne wytrzymanie w tonie. Ciche, przymglone, świetlane postaci snują się po jasnych łąkach nad brzegiem ruczajów. Nic nie mąci pogody wrażenia, nie niweczy piękna zaziemskiej wizyi.

Jako muzyka wonnych kwiatów, jako poszept wiosenny liści, brzmi ukryta melodya duszy. Zdala od gwaru, zdala od powierzchni codzienności, zdala od drobnych miazmatów, na szczycie wysokiej wieży, nad brzegiem oceanu rozbrzmiewa tęskny, rozełkany głos harfy smętnej radości. Zdala od bólu i męki rozbrzewa głos pieśni nieśmiertelnej duszy ludzkiej.

Zbigniew Brodzki.

Imienny Ukaz Najwyższy

do Senatu rządzącego.

Ukazem Naszym do Senatu Rządzącego z d. 22-go września 1903 r. My oddaliśmy towarzyszowi ministra spraw wewnętrznych, któremu powierzono dowodzenie oddzielnym korpusem żandarmów, ogólny zarząd policyą i zatwierdziliśmy instrukcyę, określającą jego prawa i obowiązki. Uznawszy obecnie, że z powodu warunków czasu, nieodzownem jest ustanowienie owych praw i obowiązków na zasadach odmiennych— Rozkazujemy:

I. Wyższy kierunek sprawami, pozostającemi pod zarządem centralnych organizacyi miejscowych ministeryum spraw wewnętrznych, a dotyczącemi uprzedzenia i zapobieżenia przestępstwom, jak również ochrony bezpieczeństwa publicznego i porządku, tudzież kierowanie wszystkiemi sprawami, pozostającemi pod zarządem departamentu policyi, powierzamy towarzyszowi ministra spraw wewnętrznych, zawiadującemu policyą, który jednocześnie ma pozostać dowódcą oddzielnego korpusu żandarmów.

II. We wszystkich sprawach, w paragrafie pierwszym niniejszego Ukazu wskazanych, pozostawić prawo towarzyszowi ministra spraw wewnętrznych, zarządzającemi policyą, decyzyi we wszystkich sprawach, które według organizacyi ministeryów i na zasadzie ustaw rozstrzygane są władzą ministra, a w razie, gdyby władzę ministra przewyższały, pozostawić prawo towarzyszowi ministra, zarządzającemu policyą, aby działał prawnie i na zasadach ustanowionych dla ministra, a w odpowiednich wypadkach Nam składał raporty.

III. Pozostawić prawo towarzyszowi ministra spraw wewnętrznych zawiadującemu policyą:

1) zatwierdzać uchwały specyalnej narady utworzonej na zasadzie art. 34, części I, uwagi II do artyk. 1-go ustawy o uprzedzaniu i zapobieganiu następstwom, w której to naradzie poprzednio przewodniczył dyrektor departamentu policyi.

2) Rozstrzygać wszystkie pytania wynikłe z powodu zastosowania przepisów o dozorze policyjnym

3) Udzielać w razach odpowiednich gubernatorom, naczelnikom miast i oberpolicmajstrom wskazówek i wyjaśnień, dotyczących przedmiotów w paragrafie I niniejszego Ukazu wyłuszczonych na zasadach, ustanowionych dla ministra spraw wewnętrznych.

4) Rozporządzać się całkowitym kredytem, asygnowanym przez ministeryum spraw wewnętrznych dla zarządu policyi.

5) Decydować w sprawach, dotyczących przestępstw państwowych we wszystkich tych wypadkach, w których prawo to pozostawione jest ministrowi spraw wewnętrznych.

6) Zamykać zjazdy, już zezwolone na zasadzie obowiązujących praw, uchwałą ministra spraw wewnętrznych, już to uchwałą i innych zarządów, o ile działalność owych zjazdów będzie uznana za szkodliwą dla bezpieczeństwa i porządku publicznego, jak również zamykać w podobnych wypadkach czasowo na termin nie dłuższy, jak na rok jeden, wszystkie towarzystwa, związki i tym podobne instytucye, bez względu na to, w jakim porządku nastąpiło ich otwarcie i do jakiego zarządu należały.

IV. Udzielić towarzyszowi ministra spraw wewnętrznych, zarządzającemu policyą, prawo wyższego dozoru nad porządkiem przetrzymywania pod strażą osób, oskarżonych o przestępstwa państwowe.

V. We wszystkich sprawach, podlegających decyzyi towarzysza ministra spraw wewnętrznych, zarządzającego policyą, pozostawić mu prawo porozumiewania się ze wszystkiemi instytucyami rządowemi i osobami bezpośrednio.

Na oryginale Własną Jego Cesarskiej Mości ręką podpisano:

MIKOŁAJ.

W Carskiem Siole, dnia 21 maja 1905 r.

Życie publiczne w Rosyi.

„Aparat opieki administracyjnej — mówi *Ruś* w artykule o tolerancyi religijnej — nad każdym naszym ruchem ciała i ducha wcale nie jest przygotowany do pięknej zasady wolności. To też zaledwie rozszedł się powiew tej wolności, gdy już wynikają tysiączne starcia jej z istniejącym „porządkiem".

Pewne nieporozumienia przybierają dość ostry charakter. Tak np. dotąd ograniczenia praw służby Polaków i Litwinów były tłomaczone urzędowo tem, że te narodowości są katolickie, a katolicyzm jest religią zdradliwą i wrogą państwu Rosyjskiemu. Ale oto teraz z wysokości Tronu powiedziano, że wyznanie nie powinno wpływać na prawa obywatelskie. Cóż będzie z ograniczeniami służbowemi. Rozstrzygając tę kwestyę logicznie, konsekwentnie: należałoby przyznać, że wszystkie ograniczenia upadają same przez się. Ale my jesteśmy wychowani w atmosferze wszelkich postrachów i niedowierzania i dlatego z nałogu już nas—przestrasza wszelka myśl o przecięciu węzłów gordyjskich naszego życia pogmatwanego. Chcemy zachować o ile można najwięcej starych, dogodnych form i oto w danym wypadku stoimy wobec zadania znalezienia nowego gruntu dla nałogowych (chociażby w mniejszych rozmiarach) ograniczeń służbowych naszych poddanych katolików. Trzeba będzie oczywiście przenieść kwestyę z gruntu religijnego na czysto narodowy. Ale czy to jest dogodne i pożądane? Rozumie się, nie jest to wcale pożądane.

W samej kwestyi tolerancyi religijnej, po za sferą praw cywilnych, są także niejasne, bardzo ważne punkty zasadnicze. Tak np. wielu naszych korespondentów zaznacza to, że ani w ukazie Najwyższym przy jego lakoniczności, ani w zatwierdzonej opinii komitetu ministrów (przy całej jej rozwlekłości) nie ma jasnych wskazówek co do chrzczenia dzieci na tę lub inną wiarę małżeństw mieszanych.

Dotychczas zmuszanie do chrztu dzieci według obrządku prawosławnego, jeżeli jedno z małżonków prawosławne, było przyczyną niezliczonych tragedyj rodzinnych. Obecnie jest sposób uniknięcia ich, ale ten sposób jest wprost dziwaczny: małżonka lub małżonek prawosławny musi przejść na wiarę swego towarzysza życia i wtedy dziecko może być ochrzczone na wiarę tego ostatniego".

Syn Otieczestwa pisze:

„Jeżeli mamy wierzyć *Swietowi*, to w Wilnie i innych miastach kraju Nadwiślańskiego, strajkowali księża, którzy odmówili wykładania w szkołach religii po rosyjsku. Powodem tego „bezrobocia" swojego rodzaju, były jakoby nieporozumienia z władzą szkolną, wynikłe na gruncie interpretacyi Ukazu najwyższego, o tolerancyi religijnej. Wileński biskup katolicki zrozumiał Ukaz w tym sensie, że odtąd wykładanie religii ma się odbywać w rodzinnym języku uczniów i dał odpowiednie wskazówki księżom. Ale władza szkolna nie zgodziła się z takiemi tłomaczeniami, znajdując, że religię katolicką wyznają nietylko Polacy, ale także Białorusini, zaprotestowała przeciw rozporządzeniu biskupa. Wtedy księża uznali za stosowne zupełnie przerwać wykład religii i rozpoczęło się tym sposobem „bezrobocie". Pytamy, kto w tej smutnej historyi ma racyę? Sądzimy, że ma racyę biskup wileński. Po pierwsze, katolicy, uczący się w kraju Nadwiślańskim, są to w znacznej większości wypadków Polacy i Litwini, gdy Białorusini-katolicy stanowią bardzo nieznaczny procent. Powtóre, jeżeli nawet przypuścimy, że Białorusinów katolików znajdzie się dostateczna liczba, to i wtedy chodziłoby tylko o naukę religii jednocześnie po polsku, litewsku i białorusku, ale nigdy po rosyjsku, gdyż Ukaz z d. 17-go kwietnia mówi właśnie o wykładaniu pisma świętego w rodzinnym języku uczniów.

Niestety, ten prosty wywód wydał się miejscowej władzy szkolnej niezgodnym z wywodami rządu i w rezultacie wynikło nieporozumienie.

Zresztą Ukaz z d. 17 kwietnia wywołuje nieporozumienia prawie wszędzie. Tak np. przy przejściu z prawosławia na inne wyznanie chrześciańskie, pastorowie, księża i inni oznajmiają „odpadającym", że obecnie nie otrzymano jeszcze „przepisów" osobnych, regulujących przejście z prawosławia i że dlatego życzenie prozelitów przejścia na religię luterańską lub katolicką, nie może być zaspokojone. Przynajmniej prasa reakcyjna nie przestaje ciskać gromów i zapełniać kolumn gazet doniesieniami o „intrygujących" księżach i nawet o przekupstwie, praktykowanem wrzekomo celem nawrócenia unitów na katolicyzm. Wreszcie liczni sekciarze również skarżą się, iż od chwili wydania ukazu, położenie ich bardzo mało się zmieniło na lepsze i że niżsi urzędnicy policyjni i duchowieństwo wiejskie ciągle jeszcze patrzą na nich jako na przestępców, pozostających tylko chwilowo na wolności.

Tym sposobem wolność sumienia w Rosyi, nawet w tych granicach, jakie nakreślono w Ukazie z dnia 17-go kwietnia (st. st.), ciągle jeszcze jest wątpliwa i jeżeli sprawa ta nie będzie podlegała kontroli społeczeństwa, lecz pozostanie pod władzą biurokracyi, to długo jeszcze będą się rozlegały skargi na nietolerancyę religijną i cierpienia za wiarę".

„Warsz. Dn." ogłasza:

„Jego Cesarska Mość ukazem z dnia 17-go kwietnia darował swoim wiernym poddanym swobodę wyznania i w niewysłowionej Swej łaskawości uwolnił od prześladowań i skutków niepomyślnych osoby, które odłączyły się od wiary prawosławnej, przyjmując inne chrześciańskie wyznanie.

W tym samym Ukazie Jego Cesarska Mość wyraził pewność, że darowana ulga sprowadzi pokój i miłość w stosunkach wzajemnych prawosławnych z nieprawosławnymi.

Tymczasem z bolesnem uczuciem możemy zauważyć, jak niektórzy wskutek błędnego pojęcia lub wskutek złej woli komentują wielką Cesarską łaskę zupełnie fałszywie.

Obecnie Jego Cesarska Mość raczył zwrócić uwagę na podobne tak bolesne i występne działania, sprzeciwiające się również Cesarskiemu Ukazowi z dnia 17 kwietnia jak i istniejącym prawom.

Uprzedzam, że według prawa, jakie zachowuje pełną swą moc i w chwili obecnej (art. 4, t. XI pr. kar) tylko jeden panujący kościół prawosławny korzysta z prawa swobodnego rozpowszechniania swego wyznania, osobom zaś innych wyznań zakazuje się nakłaniać kogokolwiek do przejścia na jego religię.

Winni odwodzenia od prawosławia, a także ganienia wiary prawosławnej i szydzenia z niej podlegają sądowi według ogólnych praw karzących.

Niech nie zatrważa się rosyjski prawosławny lud różnemi bezsensowemi pogłoskami, rozpowszechnianemi obecnie wsród niego i niech wie on, że prawosławnych cerkwi, klasztorów i świętych ikon Car Prawosławny w przyszłości nikomu nie odda.

Warszawski Generał-Gubernator
Generał-adjutant
Maksimowicz.

Warszawa, 20 maja 1905 r.

W *Naszej Żizni* czytamy:

„Zgroza i smutek ogarnęły serca nietylko tych, którzy są związani węzłem krwi z liczną eskadrą Rożestwienskiego, ale i tych wszystkich, dla których jest droga ojczyzna, droga krew, przelewana daremnie. Olbrzymia stawka, obyż przynajmniej ostatnia! Przegraliśmy ją, okrywszy wstydem tych wszystkich, którym historya ogłosi wyrok, jako winowajcom pogromu Rosyi. Setki tysięcy ludzi i przeszło dwa miliardy pieniędzy straciliśmy w wojnie; takie są dotąd w przybliżeniu pasywa w bilansie narodu rosyjskiego, który musi tak drogo płacić za lekceważenie wszystkich zasadniczych podstaw postępu społecznego, wypracowanych przez tysiącoletnią kulturę Zachodu. Sewastopol odrodził Rosyę, przyspieszył rozerwanie łańcuchów niewoli. Teraz nam pozostaje jedyna nadzieja, że port Artura, Mukden, Cuszima, również ostatecznie wstrząsną Rosyą i zmobilizują wszystkie jej siły społeczne, ażeby nareszcie życie mogło popłynąć innem łożyskiem, ażeby uwolnione z pęt biurokratycznych, mogły się nareszcie zbudzić moralne, umysłowe i produkcyjne siły narodu rosyjskiego. Tylko to może zagoić głębokie rany, z których Rosya w obecnej chwili w dosłownem znaczeniu krwią ocieka".

„Mając w Mandżuryi pół miliona wojska,— pisze *Now. Wrem.*—nie potrzebujemy myśleć o zawarciu pokoju. Jeżeli dotychczas Japończycy, panując zupełnie na morzu, nie mogli tej armi zniszczyć, to dlaczegóż mamy liczyć, że uda im się to obecnie? Ciężki jest cios, który dotknął Rosyę, ale jaką właściwie zmianę wprowadza w położenie utrata floty Rożestwienskiego? Daje to Japonii zabezpieczenie panowania nad morzem, ale dla armii rosyjskiej nie wytwarza nowych warunków. Armia ta w przyszłości będzie musiała polegać tylko na własnej sile, tak jak było podczas całej wojny; armia przywykła do tego i może wytrzymać długą walkę".

W tymże numerze p. Suworin zaklina, aby niezwłocznie zwołano sobór ziemski.

„Tylko na soborze ziemskim Cesarz i Rosya poczują się w jedności. Niechaj padnie mur, rozdzielający Cesarza i naród, i niechaj nastanie rząd odpowiedzialny, działający jawnie, w oczach narodu, nikomu niewrogi, a dla wszystkich sprawiedliwy. Już przeszło rok nieszczęścia żelaznym łańcuchem coraz silniej ściskają Rosyę. Wróg żółty tryumfuje siłą oręża—wewnętrzny siłą naszej dezorganizacyi i nieładu. W gazecie, która wyraża opinię pewnej sfery społeczeństwa, czytałem: „Zawrzyjcie pokój z Japonią, a wtedy łatwo poradzicie sobie z wrogiem wewnętrznym. Inaczej, wojna na dwa fronty jest niemożliwa". Jak to? Więc wy, którzy tak przemawiacie w prasie i w życiu, myślicie prowadzić jeszcze i wojnę wewnętrzną? Cóż to ma być za wojna—jednej części społeczeństwa przeciw drugiej, włościan przeciw szlachcie, robotników przeciw fabrykantom, a wszystkich przeciw państwu? O takiej wojnie wy wspominacie? Wewnątrz istnieje bezład, chwiejność, brak ścisłego prawa, bezsilność władzy, znajdującej się w warunkach, pozbawionych należytej dyrektywy; wewnątrz przeto potrzeba nie takiej broni, jak przeciw nieprzyjacielowi zagranicznemu. Pamiętajcie, że jedyny dobry miecz na wewnątrz—to prawo. A broń tę da sobór ziemski".

Z okazyi złożenia na odnowienie floty 950 rubli przez pewnego Polaka, który był w rosyjskiej służbie dyplomatycznej, *Ruś* pisze:

„Polakom nie dowierzamy, chociażby wiernie służyli państwu, a w tej samej służbie ileż jest osób protestanckiego wyznania i niemieckiego pochodzenia, i osoby te, niezwiązane z nami ani pobratymstwem, ani wspólnością słowiańskiego ideału, korzystają z takich samych praw jak Rosyanie i nikt nie podejrzewa ich o brak patryotyzmu, nikt nie żąda, by się stali renegatami wiary lub plemienia swego. Niemiec tylko jedynie z obcoplemieńców ma prawo być, czem chce, ma prawo być Niemcem.

Taką jest siła tradycyi i nawyknienia, ale to anomalia.

Wszystkie inne nierosyjskie narodowości są u nas w podejrzeniu. Czyż w ciężkiej chwili prób będziemy nadal odtrącali pobratymców i współobywateli tylko dla tego, że innym mówią językiem i inną wyznają wiarę?

Nie zapominajmy, że honor żołnierza rosyjskiego na Dalekim Wschodzie podtrzymali zarówno polacy, litwini, łotysze, estończycy, Kaukaz i muzułmanie.

A przedewszystkiem Polacy, których na wojnie mnóstwo, nie wywołali żadnych narzekań, zachowywali się bez zarzutu, wzorowo, ginęli wraz z nami tysiącami, dziesiątkami tysięcy. Czy istotnie przelaną krwią i czynami swego męstwa nie przekonali nikogo, że można być nie renegatem, lecz dobrym Polakiem i katolikiem, a oddawać wszystko i spełniać czyny bohaterstwa za macochę Rosyę.

Czas już raz opamiętać się i przejrzeć; czas porzucić przesądy. Wspólnemi siłami—*viribus unitis*—hasłem, które nie udało się jezuickiej, makiawelskiej i typowo-biurokratycznej Austryi nietylko przywrócimy łatwo flotę, ale stworzymy niezrównaną wszechświatową potęgę"...

P. Statkowskij w *Now. Wrem.* cytuje list Rosyanki, uskarżającej się, że życie w Warszawie i całem Królestwie Polskiem stało się niemożliwem dla Rosyan: „... tymczasem gazety rosyjskie, rosyjskie tylko z nazwy, szerzą wszelkie kłamstwa o działaczach rosyjskich w kraju. Nie widzimy żadnej obrony, a tymczasem życie nasze, zwłaszcza naszych braci wojskowych, w ciągłem niebezpieczeństwie. Do biednych żołnierzy, niemających spokoju ani w dzień, ani w nocy, strzelają z za węgła, rzucają bomby i znieważają ich wszelkimi sposobami. Do tego wszystkiego przyłączyło się jeszcze nowe nieszczęście—zgryzota o wiarę. Po ukazie o tolerancyi religijnej. Polacy zatryumfowali i przy spotkaniu z Rosyanami złośliwie pytają: „Na jakąż wiarę teraz przejdziecie? Rozumie się, nie będziecie prawosławnymi". Jakże my możemy tego słuchać. Dotąd przynajmniej wiara nasza była nietykalna. Ani duchowieństwo prawosławne, ani Rosyanie nikogo nie zmuszali do przechodzenia na prawosławie, ale że tak nie będą postępowali księża i Polacy—upewnia nas historya".

W dalszym ciągu autorka listu uskarża się, że w rodzinach, w których matki były katoliczki, dzieci nie mają dziś spokoju, tak je namawiają do przejścia na katolicyzm.

Nasza Żizń pisze:

„W ostatnich czasach są wydawane dość liczne rozporządzenia wbrew pragnieniom rzeczywistym i dążnościom tych, którzy je wydają. Siła okoliczności zaleca normom prawodawczym treść określoną. Ale norma co innego, a fakta co innego. Norma jest bezsilną wobec faktów. Psychologia zrozumiała: Ten, który jest zmuszony do wydania określonej normy, będzie we wszelki sposób przeszkadzał jej wykonaniu. W tych dniach na mocy aktu prawodawczego zmniejszono ograniczenia słowa polskiego. Polacy otrzymali możność telegrafowania w języku rodzinnym, a zarządy pocztowe, skrępowane nietyle normami, ile cyrkularzami, odmówiły przyjmowania telegramów po polsku. Do Petersburga poszły dziesiątki depesz, podpisanych przez wybitnych działaczów polskich ze skargami na miejscowe władze pocztowe i z wyrażeniem zdumienia.

Nastąpiło wyjaśnienie, że telegramy po polsku mogą być przyjmowane w tych wszystkich instytucyach pocztowych, w których są urzędnicy, znający język polski. Ale czy to zmienia postać rzeczy? Od znanej autorki, Elizy Orzeszkowej, nie przyjęto telegramu po polsku w Wilnie. A więc nawet w wileńskich instytucyach pocztowych niema urzędników posiadających język polski!

Trzeba powołać znających język polski, ale na to potrzebne są środki pieniężne.

Tymczasem fakt pozostaje faktem, a norma—normą. Telegramy po polsku nie będą przyjmowane w ogromnej większości instytucyi pocztowych. Epizod ten jest wyborną ilustracyą życiową w teoryi i praktyce".

KRONIKA

Wiadomości społeczne. W sferach administracyjnych — jak pisze „Warsz. Dn." — rozbierana jest kwestya zniesienia deportacyi administracyjnej.

— Z Petersburga nadchodzi wiadomość, że wprowadzenie samorządu w Królestwie Polskiem, w prowincyach nadbałtyckich i na Kaukazie odłożono na czas nieograniczony.

— Ministeryum oświaty postanowiło znieść dotychczasowe ograniczenia procentowe przy dopuszczaniu profesorów katolików do obejmowania katedr w wyższych zakładach naukowych.

— W „Kur. Kalis." z d. 3 czerwca czytamy ogłoszenie gubernatora Kaliskiego przeciw tłumom, które w ostatnich czasach zbierały się na Chmielniku, Tyńcu i w innych miejscowościach około g. 11 w., pod pozorem zaspokojenia swych religijnych uczuć, u krzyżów i figur, gdzie pośpiewawszy z początku pobożne pieśni, przechodziły do pieśni rewolucyjnych i krzycząc, strzelając i wymyślając w oburzający sposób, szły po ulicach przedmieść miasta, naruszając późno do północy ciszę i spokój pracujących mieszkańców. Gubernator ostrzega, że biorący udział w tych manifestacyach będą karani na zasadzie obowiązującego rozporządzenia generał-gubernatora warsz.: aresztem do 3 miesięcy lub karą do 500 rb.; zaś stawiający opór policyi—sądem według prawa stanu wyjątkowego.

Wiadomości urzędowe. Na mocy istniejących obecnie przepisów paszportowych osoby pozostające wskutek wyroków sądowych pod dozorem policyi mogą otrzymać świadectwa na prawo zamieszkiwania tylko z pewnemi ograniczeniami. Urzędy, wydające takie świadectwa winny mieć dokładne wiadomości o osobach, które na mocy wyroków sądowych zostały oddane pod dozór policyjny.

—Ministerym finansów poleciło naczelnikom komór pogranicznych, aby staranniej rewidowano bagaże, pakunki, koszyki i inne rzeczy, przewożone w wagonach pasażerskich.

Sprawy szkolne. Ministerym oświaty postanowiło znieść oddział handlowy, istniejący przy szkole realnej warszawskiej.

— Władzom miejscowych okręgów naukowych przyznano prawo wydawania pozwoleń na otwieranie klas równoległych w zakładach naukowych średnich.

— W uniwersytecie warszawskim rozpoczęły się egzaminy studentów, którzy wyrazili chęć składania ich przed wakacyami. Kadydatów takich jest zaledwie stu na wszystkich wydziałach.

— W Moskwie odbywają się obecnie sesye rady profesorów uniwersytetu moskiewskiego w sprawie stanowiska, jakie należy zająć w razie, jeżeli zajęcia uniwersyteckie w jesieni nie będą wznowione i jeżeli nastąpi wydalenie wszystkich profesorów i studentów.

— Przy ministeryum spraw wewnętrznych utworzona została komisya dla ostatecznego wypracowania projektu ustawy o średnich, męzkich zakładach naukowych.

— Ministeryum oświaty opracowało projekt nadania instytucyom społecznym, oraz osobom prywatnym prawa otwierania bez jakichkolwiek ograniczeń szkół średnich, które mogą się rządzić własnemi ustawami, zatwierdzonemi w drodze urzędowej. Poruszono też kwestyę zupełnego wykreślenia języka greckiego z programu średnich zakładów naukowych, rządowych.

— Kilku właścicieli szkół prywatnych w Warszawie, posiadających dotąd prawa rządowe, zwróciło się do ministeryum oświaty z podaniem o pozwolenie na otwarcie szkół z wykładem w języku polskim, lecz bez praw.

— Wszelkich informacyj dotyczących Akademii Rolniczej w Taborze oraz warunków miejscowych udziela do 31 lipca Zarząd Czytelni Polskiej w Taborze, od 1 sierpnia do 1 października p. Adalf Bauerfeind, Gołków, poczta Piaseczno, gubernia Warszawska, od 1 października p. Wacław Dziubiński w Taborze.

Z ruchu litewskiego. Paweł Wyszyński i Antoni Smetana z p. Jakształem—jak donosi „Gaz. Pol."—wnieśli do władzy podania o pozwolenie wydawania w Wilnie dwóch tygodników litewskich. Jeden wyłącznie dla ludu, drugi—dla inteligencyi. Jednocześnie powstały już w Wilnie dwie spółki wydawnicze książek litewskich. Jedna p. n. „Auszra" (Jutrzenka), założona przez J. Jabłońskiego, Antoniego Smetanę i Jana Wiłejszysa, adwokata przysięgłego (brata redaktora „Viln. Żinios"). Udział kosztuje 500 rb. i zapewnia 6%, oraz dywidendę. Druga spółka z odmiennym nieco programem działalności wydawniczej, ma udziały 50 rublowe.

Prasa. Jeden z dziennikarzy żydowskich, uzyskał pozwolenie na wydawanie w Warszawie gazety codziennej, p. t. „Der Emes" (Prawda).

Wiadomości ekonomiczne. „Gazet. Pol." podaje następujący wykaz wartości oddzielnych okrętów eskadry adm. Rożestwienskiego, bądź zatopionych, bądź wziętych do niewoli przez Japończyków w bitwie pod Cuszimą „Borodino" 11,500,000 rb., „Cesarz Aleksander II", 11,500,000 rb., „Orzeł" 11,500,000 rb., „Feldmarszał Suworow" 11,500,000 rb., „Osłabja" 10,007,000 rb., „Mikołaj I" 7,525,000 rb., „Nawarin" 7,409,000 rb., „Sisoj Wielikij" 6,747,000 rb., „Admirał Nachimow" 6,103,000 rb., „Aurora" 5,582,000 rb., „Dimitrij Donskoj" 4.564,000 rb., „Włodzimierz Monomach" 3,459,000 rb., „Żemczug" 3,720,000 rb., „Izumrud" 3,720,000 rb., „Admirał Siemonin" 3,504000 rb., „Admirał Uszakow" 3,296,000 rb., Gen. Apraksin" 3,463,000 rb., „Świetlana" 2,787,000 rb., „Kamczatka" 2,500,000 rb., „Irtysz" 2,000,000 rb., „Ural" 2,00,000 rb., 4 torpedowce 494,000 rubli 1,976,000 rb., razem 126,362,000 rb. W sumę powyższą nie wchodzi wartość remontu i zmiany uzbrojeń, wartość „Korei", „Swiru", „Smoleńska" i innych okrętów, znajdujących się w portach chińskich, wreszcie olbrzymie koszta podróży eskadry z Kronsztadu na Daleki Wschód.

— D. 1 stycznia r. b. Warszawa miała stałych mieszkańców 144,410 mężczyzn i 164,061 kobiet, niestałych—220,014 mężczyzn i 239,412 kobiet, czyli razem 767,897.

— We wszystkich zakładach ministeryum marynarki i we wszystkich warsztatach portowych skrócono dzień roboczy do 9 godzin.

Strajki. Po 5-dniowym strajku malarzy pokojowych żydów przyszło do porozumienia na następujących warunkach: Pracownicy otrzymali: 1) 8-godzinny dzień roboczy, podwyższenie płacy o 20 proc., 3) wypłata co tydzień, 4) zniesienie pracy akordowej, 5) zapłata za czas choroby, 7) zapłacenie za czas stracony z winy majstra, 8) niezmienianie warunków w ciągu sezonu.

Poczta i telegraf. W roku bieżącym przypada 50-lecie wprowadzenia w Państwie Rosyjskiem telegrafu elektrycznego. Pierwsze linie telegraficzne na dłuższą przestrzeń powstały jednocześnie pomiędzy Petersburgiem a Moskwą i pomiędzy Warszawą a Petersburgiem w r. 1854. Linie telegraficzne Warszawa-Petersburg, długości 1,100 w., wybudował inżynier Simens w kilka miesięcy. W r. 1854 od linii głównej urządzono boczne linie do Ejdkun, Mysłowic i Granicy. Zarząd telegrafu w Warszawie stanowił urząd samodzielny z osobnym statutem. Opłata za przesyłanie telegramów prywatnych wynosiła wtedy za 25 słów na przestrzeń 70 wiorst 62 kop., na 175 wiost 1 rb. 24 k. i t. d.

— Główny zarząd poczt i telegrafów opracowuje projekt obniżenia taksy telegraficznej od depesz wysyłanych na bliskie odległości.

Komunikacye i drogi. Parlament ministeryum komunikacyi zawiadomił zarządy tutejszych kolei, że każdy urzędnik bez względu na płeć, posiadający prawo na dodatek mieszkaniowy, po wstąpieniu w związek małżeński z urzędnikiem posiadającym, takież prawo na mieszkanie, zachowuje nadal należący mu osobiście dodatek mieszkaniowy.

Osobiste. P. Aleksander Świętochowski wyjechał na kuracyę do Karlsbadu.

Od Administracyi.

Pana W. z Kijowa, który w liście do pana Świętochowskiego prosił o przysłanie mu numerów „Prawdy" prosimy o powtórne nadesłanie adresu, gdyż ten nam zaginął.

OFIARY.

Dla biednych. „Zebrane w Werbce na Podolu rb. 40; od pani Basi Dorożyńskiej 5 rb.; od panu W Duszyńskiego rb. 3.

Dla nieszczęśliwych od B. I. F. M. S. rb. 8.

Nadesłane.

Szanowny panie Redaktorze!

W Nr. 20 „Prawdy" zamieszczoną została notatka pod nagłówkiem „Niepewność", w której autor, mówiąc o zbieraniu ofiar na prowadzenie robót publicznych dla pozbawionych pracy, robi uwagę, że wiele osób powstrzymuje się ze składaniem ich ze względu na niepewność, co stanie się z zebranym drogą tą groszem publicznym, i zwraca się o wyjaśnienie do Sekcyi robót publicznych.

Dziękując uprzejmie autorowi notatki za zwrócenie uwagi na niedość, widocznie, wyraźne określenie przeznaczenia zbieranych funduszów, zamieszczone w rozsyłanych przez nas, wraz listami ofiar, odezwach pospieszamy w imieniu Sekcyi robót publicznych wyjaśnić, że gromadzone przez nas środki, dając na razie możność dostarczenia pracy setkom, a wkrótce, zapewne, nawet tysiącom, głodnych i przyspieszając wykonanie różnych tak niezmiernie pożądanych dla miasta melioracyi jak: parki, skwery, wały nad Wisłą, zostaną po ukończeniu prowadzonych robót wycofane i użyte na stworzenie stałej instytucyi, mającej na celu umożliwienie znalezienia pracy każdemu, chcącemu pracować.

Jaką formę przybrać ma ta przyszła instytucya, czy to domów zarobkowych, czy giełdy pracy, czy jaką inną, przesądzać obecnie trudno, gdyż zależeć to będzie od wysokości zebranych funduszów i od potrzeb chwili, czego przewidzieć niepodobna.

Wogóle kwestya ta jest jeszcze zupełnie otwartą i wszelką, wypowiedzianą w tej mierze, radę Sekcya przyjmie z wdzięcznością pod rozwagę.

Prezes Sekcyi robót publicznych
Henryk Radziszewski.

Członek-Zarządu, Sekretarz-inż.
Włodz. Kryński.

31 maja r. 1905

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено цензурою Варшава, 28 Мая 1905 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego,—Mazowiecka 8.